

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr TEL 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 29 sierpnia 1908. Nr. 35.

Walka białych z murzynami.

(Treść na str. 2).

MAZURSKI 908.

Walka białych z murzynami.

(Do illustracyi tytułowej).

Okropne wiadomości nadeszły do Europy ze Stanów Zjednoczonych, z miasta Springfield w stanie Illinois, gdzie oddawna tlała nienawiść rasowa między białymi a murzynami. Trzeba było tylko iskry, aby nienawiść ta wybuchła potężnym a groźnym płomieniem i aby doprowadzić do zajść, przypominających swem okrucieństwem średnie wieki.

Iskra taka się znalazła. Był nią napad jakiegoś murzyna na białą kobietę, za co winny uległ strasznej karze lynchu. Już to spowodowało szereg dalszych burzliwych zajść między murzynami a białymi, a sytuacya stawała się z każdą chwilą groźniejszą, z każdą chwilą bardziej naprężoną. Do najstraszniejszego zaś wybuchu przyszło w parę dni później, znowu z powodu napadu murzyna na białą kobietę. Gdy wiadomość o tem rozeszła się wśród mieszkańców miasta, zebrał się na głównym placu olbrzymi tłum białych i ruszył uzbrojony rewolwerami i sztyletami ku dzielnicy murzyńskiej.

Na widok nadciągających szeregów, murzyni częścią uciekli z miasta, częścią ukryli się w domach swoich i zabarykadowali. Nie na wiele im się to jednak przydało. Rozszalały tłum rąbał siekierami bramy i okiennice, po czem wdzierał się do wnętrza murzyńskich mieszkań i tam mordował bezlitośnie czarnych wrogów. Murzyni bronili się z zaciekłością, raniąc i zabijając kilku białych. To doprowadziło tłum napastników do jeszcze straszniejszych wybuchów, to też rzeź murzynów przybierała rozmiary wprost straszne. Dzieło zemsty kończono zwykle podpaleniem domu murzyńskiego.

Straszne zajścia powtórzyły się dnia następnego, przybierając jeszcze okropniejszy charakter. Jakiegoś murzyna pochwycono nocą w domu, przywiązano do drzewa i strzelano doń, tak iż ciało nieszczęsnego zostało podziurawione jak sito. Ogółem w tych dniach pogromu zginąć miało przeszło 100 murzynów.

Na wiadomość o krwawych zaburzeniach wysłano z Chicago wojsko, które z wielkim trudem zdołało zmusić tłum białych do opuszczenia dzielnicy murzyńskiej i zaprowadzić spokój i ład w mieście. Ale spokój ten ma charakter bardzo niepewny i przy najmniejszej okazyi można się spodziewać ponownych zaburzeń.



Pierwszy biskup polski w Ameryce: Ks. biskup Paweł Rhode.



Uroczystość sokoła w Prościejowie: Grono przedstawicieli polskiego Sokolstwa na zlocie w Prościejowie.

Pierwszy biskup polski w Ameryce.

Nareszcie Polonia amerykańska doczekała się swego arcypasterza. Kurya rzymska zgodziła się wreszcie na zamianowanie polskiego biskupa dla Ameryki, o co kołatano od dawna, jednak bez skutku, a to głównie z powodu oporu biskupów amerykańskich, po części zaś i wpływów Europy, niechętnie patrzącej na rozwijającą się samodzielność amerykańskich Polaków.

Wybór stolicy apostolskiej padł na młodego wprawdzie wiekiem, ale zasłużonego kapłana, ks. Pawła Rhodego, rektora polskiej parafii św. Michała Archanioła w Chicago.

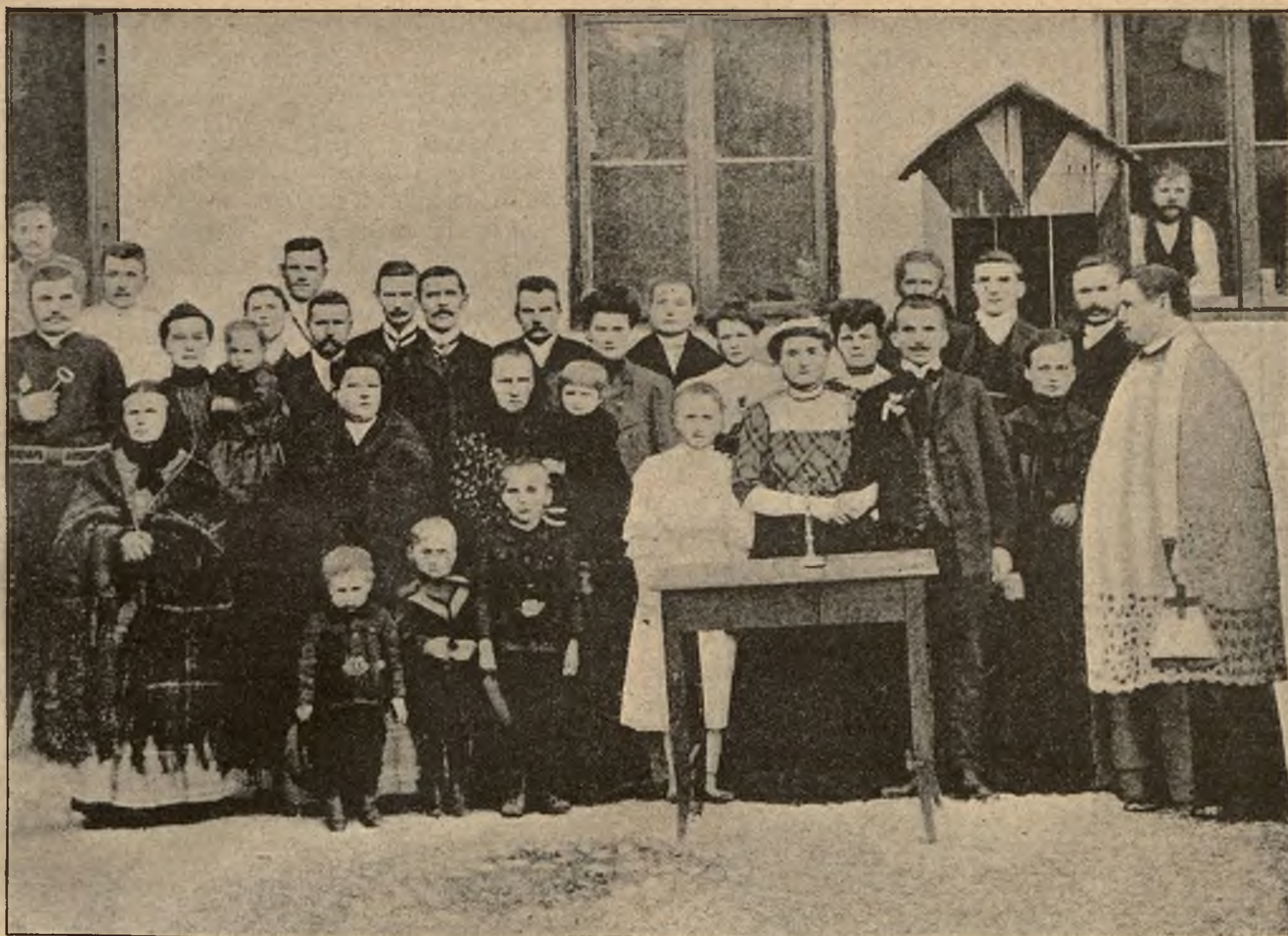
Ks. Rhode urodził się w Wejherowie w Prusiech Zachodnich w r. 1871 i wkrótce wyemigrował z matką do Ameryki, gdzie uczęszczał do polskiej szkoły św. Stanisława Kostki, a następnie do kollegium Najśw. Panny Maryi w St. Mary's. Kurs klasyczny i filozofii ukończył w kollegium OO. Jezuitów w Chicago, a teologiczne studya w seminaryum św. Franciszka w St. Francisco. Święcenia kapłańskie otrzymał w czercu 1894, poczem został wikaryuszem przy kościele św. Wojciecha, a w dwa lata później proboszczem parafii św. Piotra i Pawła w Chicago. W r. 1898 arcybiskup zamiano-



Mazury nad Osławą: Grupa członków »Sokoła« w Tarnawie nad Osławą.

wał go proboszczem parafii św. Michała w South - Chicago. Nowomianowany biskup otrzymał tytuł biskupa Barki *in partibus infidelium.*

Amerykańska Polonia przyjęła nominacyę ks. Rhodego z nieopisanym zapałem. W dniu 29 lipca odbyła się konsekracya biskupa, w dniu zaś 2 sierpnia odprawił nominat pierwszą pontyfikalną mszę. O ile uroczystość wyświęcania miała charakter więcej ogólny, o tyle pierwsza msza była mszą dla społeczeństwa polskiego, gdyż udział w niej wzięli prawie sami Polacy.



Od ołtarza pod szubienicę: Orszak ślubny Władysława Głuszkowskiego na podwórzu więziennem w Łodzi.

Podajemy dziś zdjęcie fotograficzne grupy członków Sokoła w Tarnawie, zebranych z powodu uroczystości grunwaldzkiej.

Uroczystość sokola w Prościejowie.

W miasteczku Prościejowie na Morawie, urządziło Sokolstwo czeskie w połowie sierpnia zlot swoich druhów, zapraszając do udziału w nim także grono gimnastyków francuskich oraz Sokołów polskich. Prócz gości z Polski i Francyi, przybył też poseł do Dumy rosyjskiej, Kljuzew.

Uroczystość sokola, która trwała dwa dni, miała przebieg bardzo piękny i była nowym dowodem wspaniałego rozwoju idei sokolej wśród braci Czechów. Punktem kulminacyjnym były ćwiczenia gimnastyczne wolne i na przyrządach. Stanęło do nich przeszło 1000 znakomicie wyćwiczonych i dziarskich Sokołów czeskich. Ich ruchy rytmiczne w tak muzyki, ich zadziwiająca karność i precyzya w wykonywaniu trudnych nieraz i wytężających ćwiczeń, wywoływały nietylko huczne, burzliwe oklaski ale i podziw szczery.

Zetknięcie się przedstawicieli polskiego Sokolstwa z Czechami dało nową sposobność do zamanifestowania uczuć sympatyi i braterstwa wzajemnego. Sokoli czescy gościli naszych druhów z ogromną serdecznością, dając jej wyraz także w kilku pięknych i podniosłych przemówieniach. Imieniem polskich Sokołów przemówił prezes związku polskich towarzystw sokolich, dr. Ksawery Fiszer, oddając hołd zasługom Czechów na polu rozwoju idei sokolej oraz podnosząc konieczność wspólnej pracy dla wspólnego celu. Przemówienie swe, przyjęte burzą oklasków, zakończył dr. Fiszer okrzykiem: „Niech żyje czeskie Sokolstwo“.

Od ołtarza pod szubienicę.

Ruch socyalny w Królestwie Polskiem wyrodził się, jak to często bywa, w zwykły bandytyzm. Ekspropryacye i konfiskaty pieniędzy rządowych dla celów partyjnych, zmieniły się z czasem w rozbój i mordowanie posiadających, ale już na dochód „własnej kieszeni“ przedsiębiorców wyprawy, stąd też społeczeństwo o ile początkowo szczerze sympatyzowało z ruchem, który miał bądź co bądź szlachetniejsze pobudki, z czasem

Mazury nad Osławą.

Nad Osławą, pod Liskiem i Nowym Zagórzem, wśród Rusinów, chcących „Lachów“ wyrzucić za San, prawdziwą ostoją i twierdzą polskości jest wieś Tarnawa. Dokoła Tarnawy albo wsi czysto ruskie, albo ongi polskie, a dziś zruszczone. Nawet w Tarnawie, gdzie dawniej było 5% Rusinów, dziś zapomocą mięszanych małżeństw urośli oni do 30%.

I zginęłaby ta wieś polska jak wiele innych, gdyby nie dzielny odpór Mazurów, zatrudnionych w kopalniach nafty w Tarnawie i Zagórzu.

Ci z pomocą włościan kilkunastu z Tarnawy, już uświadomionych dzięki kilkuletniej bytności w Ameryce, założyli „Sokół“ wiejski w Tarnawie.

Jak gniazdo to prosperuje dowodzi fakt, że ma w swem łonie: straż ogniową, szkołę polską (przez nich także założoną i utrzymywaną), szkołę analfabetów, bibliotekę zawierającą przeszło 100 książek, bezpłatną czytelnię z przeszło 20 gazetami, bezpłatną herbaciarnię, rasową królikarnię oraz własną orkiestrę sokolą, złożoną z przeszło 20 muzykantów.

Wszystko to zdziałano wysiłkiem i kosztem robotników kopalnianych i kilku najinteligentniejszych włościan z Tarnawy. Dowód, co potrafią Mazury, gdy staną szczerze i gromadą do jakiej pracy.



Po nadaniu konstytucyi: Manifestacye Armeńczyków w Smyrnie.

odwróciło się od niego zupełnie, a rząd musiał chwycić się energicznych środków, aby uchronić klasę posiadającą przed napaściami bandytów. Zaroiły się więzienia od tłumów bandytów, wielu



Po nadaniu konstytucyi: Scena uliczna ze Stambułu.

z nich poszło na śmierć, jednak i to nie wpłynęło uspokajająco na amatorów cudzej własności.

Podobne losy przechodził i Władysław Głuszkowski w Łodzi. Zacząwszy od rabowania i mordowania dla celów partyjnych, skończył na bandytyzmie dla celów osobistych, aż wreszcie pośliznęła mu się noga, dostał się w ręce sprawiedliwości i wyrokiem sądu wojennego skazany został na śmierć przez powieszenie.

Skazaniec miał jednak kochankę, Juliannę Krzymińską, która przed półtora rokiem powiła mu syna. Postanowił ją więc poślubić celem ulegalizowania dziecka. Gen.-gub. Kaznakow zgodził się na to i przed egzekucyą pobłogosławił ks. Skolimowski, maryawita, związek małżeński przy licznym udziale władz więziennych i krewnych obojga państwa młodych.

Po dokonanej ceremonii całe towarzystwo dało się na pamiątkę odfotografować, a w nocy pan młody zawisł na szubienicy.

Po nadaniu konstytucyi.

Pokojowy przewrót, który w ostatnich czasach dokonał się w Turcyi, pociągnął za sobą liczne manifestacye wiernopoddańcze Turków i chrześcijańskiej ludności, a padyszach stał się obecnie jednym z najpopularniejszych władców Europy. Niema dnia, aby rozentuzyazmowane tłumy nie urządziły sułtanowi owacyi koło jego pałacu, a już objawy radości nie mają granic, gdy sułtan pokaże się na ulicy, jak to miało miejsce w ubiegły piątek. Gdy sułtan w uroczystym pochodzie udał się ze swego pałacu do meczetu Hamidże, celem wzięcia udziału w uroczystości „selamliku“, tysiące zgromadzonej ludności zgotowały mu na ulicach miasta wprost owacyjne przyjęcie.

Wogóle życie na ulicach Konstantynopola od chwili ogłoszenia konstytucyi przybrało zupełnie inny, niż poprzednio charakter. Ulicami przeciągają tłumy ozdobione kokardkami, tu i ówdzie obnoszą portrety sułtana, uwieńczone kwiatami, domy ozdobione są chorągwiami i zielenią. Nawet kobiety tureckie, które dotąd trzymały się z daleka



Po nadaniu konstytucyi: Więźniowie polityczni, domagający się wypuszczenia na wolność z powodu amnestyi.

i rzadko tylko pokazywały się na ulicach, biorą udział w radosnych manifestacyach.

Dawny antagonizm między ludnością mahometańską a chrześcijanami zdaje się pod wpływem radosnej nowiny o nadaniu konstytucyi zanikać, a już owacye i uniesienie niema wprost granic, gdy korzystając z udzielonej amnestyi, powraca do Konstantynopola który z wygnanych patryotów.

Wobec tych wszystkich objawów radości i przywiązania do sułtana, dziwnem się wydaje doniesienie niektórych dzienników, jakoby komitet młodoturecki miał zamiar skłonić sułtana do abdykacyi. Że sułtan nie jest zdrów, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, ostatnie przejścia odbiły się widocznie na jego nawet zewnętrznym wyglądzie, niema jednak, zdaje się, obawy, aby miała nastąpić katastrofa.

Na dworze sułtańskim zapanował zupełnie inny duch; fałszywych doradców, którzy usuwali sułtana od rządów i ciągle paraliżowali wszystkie jego dobre chęci, usunięto a miejsce ich zajęli ludzie, mający na celu tylko dobro ojczyzny, i w myśl ich rad i wskazówek postępując może sułtan być pewnym, że sympatya, z jaką do niego odnoszą się teraz jego poddani, tak prędko się nie zmieni.

W uzupełnieniu artykuliku zamieszczamy w w dzisiejszym numerze szereg zdjęć fotograficznych illustrującą chwilę bieżącą w Turcyi.



Po nadaniu konstytucyi: Owacyjne powitanie wracającego z wygnania Fouada-baszy.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

11 (Ciąg dalszy).

Nikt lepiej od niego nie znał wszystkich plotek, jakie krążyły o nich po mieście. Nikomu lepiej od niego nie były wiadome wszystkie słabości i błędy pięknych pań i dumnych panów, tworzących śmietankę warszawskiego towarzystwa. Wobec zdziwionej Rutkowskiej rozbierał je i ich do naga, pragnąc poniekąd swojem i swoich bliskich zepsuciem zaimponować poczciwej kobiecie, wierzącej dotąd, że przedstawiony jej dziś świat blichtru i szychu jest prawdziwem, szczerem złotem. Pragnął równocześnie rozpraszyć smutne myśli siostry i zbratać ją z otaczającem kołem, którego ani widzieć, ani znać nie chciała.

Kamerdyner zawiadomił, że podano do stołu.

W ciągu objadu wyczerpał się zapas drastycznych anegdot Karola, a jego humor złośliwy nie wywoływał już śmiechu... Zofia zwłaszcza, nie słuchała go wcale. Nie interesowała się zdrożnościami, o których mówił, nie miała o nich pojęcia. Ciałem jej owładnęło jakieś wewnętrzne drżenie febryczne, nad którem nie mogła zapanować. Przejmował ją lęk niewysłowiony, bo rozumiała, że każda mijająca minuta przybliża chwilę, w której pozostanie sama z mężem.

Drgnęła cała, usłyszawszy turkot powozu przed domem.

— To kareta zajechała po panią — zwracając się do niej, rzekł baron głosem wzruszonym.

Zofia powstała, ale rozmawiając z ojcem i ciotką o rzeczach bez znaczenia, z godzinę jeszcze odwlekła odjazd.

Korf pojmował wybornie, że czyni to nie przypadkiem, lecz rozmyślnie. Nakoniec otuliła się długim płaszczem, zeszła ze schodów i wsiadła drżąca do karety, zasuwając się głęboko w jeden z jej kątów. Milczała całą drogę, a gdy konie zatrzymały się przed domem barona, zdawało się jej, że wchodzi do jakiegoś strasznego więzienia.

XII.

Noc poślubna.

Rezydencya warszawska Korfa, obecnie wspaniale odnowiona, składała się z domu frontowego, przeznaczonego na biura i z dwóch mieszkalnych pawilonów w podwórzu, połączonych galeryą, tworzącą na parterze rodzaj małego muzeum, dotykającego do wielkiej sali balowej i zapełnionego dziełami sztuki, a na pierwszem piętrze cieplarnię z mnóstwem roślin egzotycznych. Tu stanowiła ona coś na kształt kurytarza, łączącego apartament Zofii z apartamentem jej męża.

Baron prowadził żonę przez oranżeryę, wskazując z dziesięć jej ulubionych krzaków róż, przeniesionych z Sielanki... Przypomniała sobie, że parę dni temu stała tu cenna kolekcya kwiatów afrykańskich... Uśmiechnęła się z przymusem i rzekła:

— Dziękuję panu za jego dobrą o mnie pamięć... nie należało jednak dla moich biednych róż poświęcać tyle rzadkich i drogich roślin... Różom przecie wystarcza w zupełności grunt ogrodowy...

— Celem moim było sprawić pani przyjemność, a ponieważ widzę, że się uśmiechasz, cel jest dopięty.

Weszli do małego saloniku za cieplarnią. Obity błękitnym brokatem i umeblowany w stylu Ludwika XV., nęcił oko wytwornością urządzenia i układu. Za nim — przez na rozścież otwarte drzwi — widać było białą sypialnię Zofii. Ona stała teraz zamyślona i drżąca, przeraziła ją bowiem myśl, że z nią razem wejść może i mąż do jej pokoju. Lecz on zdjął tylko płaszcz z jej ramion, a zdejmując, dotknął mimowoli jej szyi. Uczuła, że Korf ma ręce jak żar palące.

W tej chwili rozległ się odgłos wjeżdżającego na podwórzec powozu.

— To pewno mama, którą Karol uprzejmie odprowadza — rzekł baron. Pozwól pani, że wyjdę na jej spotkanie.

Oddalił się, pozostawiając Zofię mocno zmieszaną.

— Nie pożegnał się ze mną — myślała. Czyżby chciał powrócić?

Chwilę jeszcze stała nieruchoma, poczem weszła do sypialni. Czekała tu na nią panna służąca. Zofia w domu rodzicielskim prawie od dzieciństwa obywała się bez żeńskiej usługi, lecz tu sądziła, że należy uczynić zadość konwenansowi i zgodzić się na rozbieranie się i ubieranie przy pomocy obcej osoby, tego bowiem chce koniecznie komedya życia wielkoświatowego. Pozwoliła zatem przyjętej przez męża subretce zdejmować z siebie strój ślubny... Musiała przytem wysłuchać tysiąc drażniących i wstrętnych komplementów: o piękności swojej kibici, blasku złotawych włosów, białości ciała i o szczęściu, jakie ją czeka w domu męża, kochającego ją bez granic, szalenie i namiętnie.

— Tak, tak proszę pani baronowej, to co mówię jest najświętszą prawdą. W całym pałacu niema ani jednego najdrobniejszego sprzętu, którego by pan baron sam nie zamówił i sam nie oglądał przed przyniesieniem i ustawieniem, pragnie bowiem, aby wszystko, co się tu znajduje, sprawiało pani baronowej przyjemność.

— Dobrze, dobrze... Dziękuję za usługę. Proszę już odejść — odparła Zofia niezadowolona i chmurna.

Lecz panna służąca ani myślała się oddalić. Pochwyciła dwie kosy, spadające na ramiona Zofii i zaczęła je rozplatać, twierdząc, że żadna „Małgosia" z „Fausta" — a widziała ich kilkanaście na scenie Teatru Wielkiego — nie miała takich długich, grubych i pięknych warkoczy, chociaż wiadoma rzecz, że te panie śpiewające, przypinają sobie zawsze kosy sztuczne. Poczem chciała podać „pani baronowej" koszulę nocną z cudnemi koronkami *d'Alencon*, lecz Zofia stanowczo ją pożegnała, a pożegnawszy spojrzała bezmyślnie na łóżko zasłane nadzwyczaj bogatą bielizną, jakiej — o ile sobie przypomina — do wyprawy swojej nie zamawiała wcale.

— To widocznie sprawione gustem i sumptem cioci — szepnęła.

Lecz zbytki te nie cieszyły jej wcale. Przeciwnie, żałowała swojej skromnej bielizny panieńskiej... Odwróciwszy się niespodzianie, ujrzała swą postać w olbrzymiem, stojącem źwierciadle. Ponieważ była rozebraną, zadrżała znowu, przejęta nagłą obawą... Szybko z lustrzanej szafy wydobyła szlafroczek i narzuciła go na siebie. Poczem zamknęła drzwi na klucz i padła na kolana, wybuchająć nareszcie ogromnym, bolesnym, długo powstrzymywanym płaczem.

— O, mój ojcze! — jęczała. Cóżeś ze mną uczynił!

Wstydziła się otaczającego ją bogactwa. Czuła, że jest rzeczą niedelikatną i zarazem upokarzającą przyjmować tyle od człowieka, którego traktować musi jak zupełnie sobie obcego. Niegdyś... tam w Deauville, nie zastanowiła się należycie nad tem wszystkiem, bo nie przewidywała tak nadmiernej hojności, tak namiętnego zapamiętania się Korfa, uważanego przez nią za zwykłego karyerowicza, szukającego w małżeństwie z panną Wielohradzką tylko świetnych stosunków i stanowiska w wielkim świecie...

Teraz dopiero zaczęła sobie zdawać sprawę, jakiem szaleństwem była jej wiara w możliwość dotrzymania narzuconego mu przez nią warunku... Wprawdzie dał jej słowo... przysiągł nawet... lecz czy dotrzyma przysięgi?!... Przysięga dla mężczyzn o tak gwałtownym charakterze bywa zbyt kruchem wędzidłem... Słyszała o tem nieraz; czytała nawet w romansach i poezyach polskich i francuskich.

Powstała z klęczek i zbliżyła się do drzwi, żeby się przekonać, czy je dobrze zamknęła na klucz.

W ciszy ją otaczającej czuła się teraz bezpieczną... przynajmniej na noc dzisiejszą. Wspomnienia niezbyt odległej przeszłości całą siłą swego rozkosznego czaru wdarły się obecnie do jej mózgu... Po raz pierwszy od miesiąca przypomniała sobie uroczy moment najwyższego szczęścia, poprzedzający tragiczną katastrofę... poprzedzający zamordowanie ukochanego. Dlaczego myśl o tej chwili nawiedziła ją obecnie?... Czy szukać ma w niej obrony przed natarczywością męża?... Wzniosła oczy w górę i utonęła w boskiej ekstazie. Zacisnęła silnie skrzyżowane na piersiach ramiona, rożna upojona, że w ten sposób przyciska do siebie Zygmunta, że czuje na swych ustach gorące tchnienie jego pocałunków. Ach! jakże daleko stąd... het, het! poza mury bankowej kamienicy i wspaniale urządzonego w niej mieszkania.., unosiło ją doznawane wrażenie!

Żaden szmer, choćby najlżejszy, nie przerywał milczenia nocy.

Zdawało się jej, że już wszyscy śpią w całym domu... Zapomniała, że jest żoną... zapomniała o wszystkie uczuć i wrażeń, wpół realnych, wpół hallucynacyjnych, w jakim żyła miesiąc cały. Nie odczuwała już nawet — jak jeszcze przed chwilą — że bezdenna jakaś i tajemnicza otchłań czyha na nią, że rozwiera się tuż, tuż pod jej stopami, że chce ją pożreć i pogrzebać w swoich głębiach niezmierzonych.

Rozmarzona, szczęśliwa i spokojna nie słyszała dwukrotnego, lekkiego pukania do drzwi. W moment potem zapukano jeszcze. Teraz przebudziła się, jakby ze snu głębokiego. Powstała z miejsca sztywna, nieruchoma, tłumiąca oddech w piersi... Odczuwała, że to mąż stać musi za drzwiami. Zapukał znowu cicho i delikatnie, nie chciał bowiem, aby ktokolwiekbądź prócz żony słyszał jego pukanie.

Zofia czekała. Zdawało się jej, że baron zniechęci się i odejdzie, a wtedy minie niebezpieczeństwo. Lecz on zapukał po raz czwarty, a głos jego drzwi przenikający, szeptał:

— Czy nie zasługuję na wysłuchanie?

Zdawał się nieśmiały, trwogą przejęty, pełen szacunku. Ton głosu jego był błagalny.

Zofia zastanowiła się chwilkę. Może w rzeczy samej powinna go wysłuchać... Jeśli ostatecznie porozumieć się mają, to czyż nie lepiej, że porozumieją się natychmiast w ciągu bieżącej nocy... Tym sposobem wzajmny stosunek ureguluje się stanowczo i nieodwołalnie... Ona go nakłoni do pogodzenia się z sytuacyą, którą mu narzuciła... Po krótkim namyśle otworzyła drzwi i pozwoliła mężowi wejść do pokoju, lecz równocześnie zawołała:

— Czy w taki sposób dochowuje pan danego słowa?

On zamknął drzwi za sobą i dyszący gniewem zbliżył się do Zofii.

— Słowo! Słowo! Dały je usta nie serce! Wiem, że co czynię teraz, jest aktem brutalnym, że gotowa jesteś mną pogardzać, że nie powinienem był przestąpić progu twojego pokoju, dopóki sama mnie nie wezwiesz, lecz ja cię kocham!

— Czyż nie mówiłam szczerze! że nigdy pana nie pokocham? Czy nie powiedziałam, że małżeństwo nasze może być opartem tylko na wspólności interesów, nie zaś na miłości?

On poruszył się gwałtownie.

— Tak, tak... Wszystko to przed miesiącem zdawało się możliwem, bo przed miesiącem widziałem w pani tylko urocze dziewczę, które stać się mogło prędzej moją przyjaciółką, niż żoną... Bo wprawdzie kochałem panią już wówczas, lecz kochałem cię po filistersku, po mieszczańsku, więc, gdyś wypowiedziała swe dziwaczne żądanie, sądziłem, że je uszanuję łatwo. Wszakże nie łączyło nas i nie rozdzielało żadne krańcowe uczucie, ani miłość, ani nienawiść! Lecz teraz kocham całą duszą i całem mojem ciałem, a kochając cię w ten sposób, cierpię okropnie, bo wiem, że mnie nienawidzisz. Gdybym przed miesiącem doznawał tego, co teraz doznaję, odpowiedziałbym ci stanowczo: „Być twoim mężem i nie posiadać cię, ależ wolałbym... wolałbym zabić panią!" Nic... nic na świecie nie może mieć dla mnie uroku i znaczenia, dopóki rzeczywiście nie staniesz się moją żoną! Ubóstwiam cię Zofio! Przebacz mi gwałtowność i uniesienie, ale ja już nie umiem rachować się ze słowami i w wykwintną formę ich ubierać. Błagam cię, zgódź się dobrowolnie! Proszę cię o to pokornie, chociaż domagać się mam prawo... bądź moją żoną!

— Pańską żoną! — zawołała Zofia przerażona.

Instynktownie cofnęła się przed nim.

— Pańską żoną? powtórzyła — ależ w takim razie wówczas w Deauville kłamałeś ohydnie! Wyzyskiwałeś moją prostotę i nieświadomość dziewczęcą!... Pańską żoną? Dla świata tak! dla pana nigdy!... Jak długo interesy jego wymagać będą, nie przestanę grać komedyi, którą odgrywałam dzisiaj pomimo okropnego smutku, przepełniającego moje serce. Jak długo zechcesz, spełniać będę sumiennie obowiązki pani domu, oraz utrzymywać i rozszerzać stosunki, jakiemi rozporządza moja rodzina. Wszakże tego tylko w małżeństwie naszem szukałeś...

— Niegdyś tak; dziś nie! — przerwał Korf z niesłychaną gwałtownością. Wielki świat i najświetniejsze w nim stosunki zdeptałbym teraz nogami za jedno słówko miłości, wyrzeczone twojemi ustami. Kocham cię... i niema już we mnie nic, nic... prócz gorącego pragnienia: być kochanym przez ciebie!

— Teraz dopiero widzę, jak bardzo zbłądziłam, pokładając ufność w panu... Uważałam cię za szlachcica jeśli nie urodzeniem, to sercem... szanowa-

łam cię, gotowa byłam jak siostra polubić, a pan mnie tak zawiodłeś sromotnie... Ach! oddal się natychmiast, jeśli nie chcesz, abym twój dom opuściła zaraz, natychmiast, jeszcze tej nocy...

— Pani mnie chce opuścić?

Krew uderzyła mu do głowy, twarz oblała się pąsem. Zachwiał się jakby wstrząśnięty iskrą elektryczną.

— Wyzywając mnie, popełniasz pani szaleństwo! Kocham cię, jesteś moją żoną...

Poskoczył ku niej, a chociaż się cofała, objął ją wpół ramieniem.

Zofia cofając się, oparła się o małą komódkę, stojącą za nią. Przypomniała sobie, że leży na niej ostry, stalowy nóż do rozcinania kartek w czasopismach i książkach. Nagłym ruchem ujęła go i wzniosła w górę, mierząc w pierś własną...

— Sądzisz pani, że zabić się masz prawo? — krzyknął Korf, wybuchając szyderczym śmiechem.

I w mgnieniu oka pochwycił ją silnie za ramię.

Zofia zbladła, czuła bowiem, że z żelaznego uścisku jego ręki wyrwać się nie zdoła.

— Ach! — jękła. Boli mnie... boli!

— Chcę, żebyś sama nóż rzuciła... i przyrzekła nie ponawiać podobnego zamachu. Pragnę, żebyś żyła, choćbyś w ciągu całego swego życia pogardzać mną miała...

Trzymał ją ciągle jeszcze... — Zofia nóż opuściła.

— Tak — szepnęła, oddychając z trudnością — tak! Masz prawo wymagać, żebym żyła... więc żyć będę. Lecz jeśli choć odrobina litości tleje w pańskiem sercu, oszczędź mi scen do dzisiejszej podobnych, nie podnoś na mnie ręki... Nikt nigdy nie ośmielił się traktować mnie w ten sposób. Potrzebuję dłuższego czasu, żeby się przyzwyczaić do pańskiego charakteru... Ani ojciec, ani mój brat nie byli zbyt tkliwymi dla mnie, nigdy jednak nie zapominali o należnych mi względach... Nie przypuszczałam, aby mężczyzna mógł podnieść rękę na kobietę...

Korf powoli rozluźniał palce, któremi pochwycił ją za ramię. W miarę jak przemawiała cichym, stłumionym głosem, drżał i mienił się na twarzy. Wstydził się swego uniesienia, więc sam na siebie wściekły, spuścił w ziemię oczy. Nakoniec po dłuższej walce wewnętrznej padł przed żoną na kolana i łkał, całując jej nogi.

— Och! jak ty mnie pani upokarzasz! — szeptał, jąkając się, a łzy rzęsiste spływały mu po zarumienionych policzkach. Nie lękaj się mnie więcej. Zapanowałem nad sobą... już nie jestem dzikiem zwierzęciem. Przebacz mi moje szaleństwo! Dziś rano jeszcze pewny byłem, że posiąść cię nie mogę inaczej jak wtedy tylko, gdy mi się sama oddasz dobrowolnie... Chciałem walczyć z moją namiętnością... pragnąłem uczciwie wywiązać się z mojej przysięgi. Wprawdzie tak jak i obecnie.. nie traciłem nadziei, że obudzę miłość w twojem sercu, lecz wyznaczałem sobie prostą drogę postępowania, po której zresztą pójdę teraz... pójdę niezawodnie... bądź o tem najmocniej przekonana! Odtąd chcę być tylko twoim sługą, twoim sługą wiernym i posłusznym, oddanym ci i uległym. Nie byłem takim dzisiaj niestety, bo namiętność doprowadziła mnie do obłędu. Przez to utraciłem wszystko, co od miesiąca powoli, powolutku zdobywałem w twojem mniemaniu... Nie chcę powiedzieć: w twojem sercu... Przebacz mi, przebacz!

Wziął obie ręce Zofii w dłonie i złożył na nich gorące, lecz pełne czci głębokiej pocałunki. Poczem patrząc się wciąż na żonę pełnym ognia wzrokiem, cofał się ku drzwiom sypialni. Otworzył je nareszcie — i zniknął za niemi. Ona zaś — jeszcze cała drżąca — słyszała jak w oranżeryi zaniósł się od płaczu.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Z Wielohradzkich baronowa Korfowa.

Zofia przebudziła się spokojna — prawie szczęśliwa.

Widok skromnych mebli i sprzętów z jej dawnego panieńskiego pokoju, przeniósł ją w niezbyt oddaloną przeszłość, gdy w Sielance z głową nabitą myślami o Zygmuncie wstawała z łóżeczka, uśmiechająca się do swych sennych rojeń o nim, pieszczona promieniami porannego słońca, odurzona wdzierającym się przez otwarte okno zapachem bzów i jaśminów, rosnących przed dworem. Leżała dość długo z na wpół przymkniętemi powiekami, pragnąc zapomnieć o rzeczywistości. Układała w duszy projekty podzielenia życia na dwie połowy. Jedna należeć będzie do świata i męża, druga ma pozostać na zawsze jej wyłączną własnością, nie podzieloną z nikim, a w niej zamknie wszystkie skarby wspomnień o minionem szczęściu...



W mgnieniu oka pochwycił ją za rękę.

Nagle w sąsiedniej cieplarni posłyszała głos Korfa, rozmawiającego po cichu z panną służącą. Powstała i na palcach zbliżyła się do drzwi. On pytał subretki:

— Więc pani nie dzwoniła jeszcze?

— Nie proszę pana barona, sama zaś nie śmiem...

— O, broń Boże! Nie trzeba budzić pani pod żadnym pozorem, choćby nawet najlżejszym szelestem. Proszę tylko zapytać, gdy wstanie, czy zechce mnie przyjąć?

To rzekłszy Korf wyszedł z oranżeryi, nucąc cichutko jak człowiek zupełnie zadowolony, melodyjną jakąś piosenkę prowansalską. Zofia zrozumiała, że jej mąż odgrywa komedyę szczęścia. Wszakże przedewszystkiem należało oszukać i wyprowadzić w pole służbę, ta bowiem odgaduje zwykle pierwsza tajemnice domowe. Postanowiła pomagać mu w tym względzie. Więc po chwili przywołała pannę służącą, pozwoliła uczesać się i ubrać, a następnie poleciła jej zawiadomić „pana barona“, że czeka na niego.

Przybył wkrótce. W oczach nie miał już śladów łez w nocy przelanych, przeciwnie spoglądał wesoło, a na wargach jego igrał uśmiech pogodny. Trzymał w ręku bukiecik polnych kwiatów. Panna służąca pod pozorem, że sprząta w pokoju, kręciła się z kąta w kąt, nadstawiając uszu ciekawie. On zaś skłonił się i rzekł słodkim głosem:

— Przekonany, że klasyczne wiązanki kwiatów ogrodowych i cieplarnianych znudzić ci się już musiały oddawna, wyszedłszy stąd nad ranem, pojechałem na Bielany, aby tam jak najmłodszy z moich urzędników biurowych zrywać te oto biedne kwiatki w lesie. Znajomi z klubu wyśmieliby mnie prawdopodobnie, gdyby się o tem dowiedzieli, lecz ty, jak mniemam, nie weźmiesz mi za złe mego zdziecinienia?

— Przeciwnie, wdzięczną ci jestem bardzo za pamięć o mnie i za miły podarek.

To mówiąc wąchała bukiecik, dyszący wonią świeżości leśnej.

Po odejściu subretki baron spytał ją już innym tonem:

— Może cię obraziły moje słowa, wyrzeczone przed chwilą? Lecz rozumiesz, że wobec ludzi musimy koniecznie udawać, że...

— Dowody twojej przyjaźni nigdy mnie nie obrażają — przerwała mu uprzejmie. chociaż trochę wyniośle. Powtarzam, że jestem ci szczerze wdzięczną za ładne kwiatki. No! a teraz czy mogę pójść ucałować twoją matkę?

— Przyjmie cię z radością. Lecz pamiętaj. że przyrzekłaś mi być dla niej względną i litościwą.

— Spełniam zawsze wszystkie moje przyrzeczenia. Nie potrzebujesz mi ich przypominać.

Pobiegła do starej Rutkowskiej, która ucieszyła się bardzo jej widokiem, zowiąc ją „swem ukochanem dziecięciem“ i tuląc ją do piersi.

— Głupia jestem — zawołała matka Korfa — tak, głupia! Powinna byłam wczoraj jeszcze na noc wyjechać do mojej Prowancyi i pozostawić was samych we dwoje. Zakochanym nie należy nigdy przeszkadzać, a obecność choćby najżyczliwszych osób trzecich zawsze im przeszkadza. Zapomniałam o tem, bo... bo chciałam... nie jego... lecz ciebie moja najdroższa ujrzeć raz jeszcze, uściskać, ucałować... Kocham cię całem sercem...

— I ja panią kocham bardzo.

Korf podziękował Zofii wymownem spojrzeniem, a ona zaczęła świekrę namawiać, żeby pozostała w Warszawie do dnia, w którym i oni miasto opuszczą. Rutkowska sprzeciwiała się temu z początku, lecz słabo... coraz słabiej. W końcu, rozrzewniona i przekonana argumentami synowej, zgodziła się czas pewien spędzić razem z nimi. Zofii zdawało się, że obecność świekry w domu uchroni ją od wszelkiej natarczywości ze strony męża.

Przez cały tydzień Korfowie nie przyjmowali u siebie nikogo obcego; to zamknięcie zastępowało poniekąd poślubną podróż za granicę. Kiedy niekiedy tylko wpadali do nich: Wielohradzki—sam, albo z Karolem — i Dulska. Lecz wizyty ich nie trwały dłużej nad parę minut. Roznosili po mieście wieści o niezwykle szczęśliwem i zgodnem pożyciu młodego małżeństwa. Baron w istocie poza godzinami zajęć biurowych niemal cały dzień spędzał z żoną, otaczając ją najczulszemi staraniami i nie wspominając wcale o swojej miłości. Zofię pomimo zupełnego spokoju, w jakim żyła, przejmował jednak niekiedy lęk nieopisany, jakby przeczuwała jakieś nieznane, grożące jej niebezpieczeństwo.

Mniej więcej w trzy tygodnie po ślubie około południa zjawił się Wielohradzki w wielkim salonie córki na parterze. Ona od razu spostrzegła, że był czemś mocno zajęty i bardzo zaniepokojony...

— Czy jesteś sama Zosiu? — zapytał.

— Tak mój ojcze.

— Mąż twój prawdopodobnie nie przyjdzie prędzej niż za godzinę?

— Prawdopodobnie nie prędzej.

— Tem lepiej, bo chciałbym z tobą pomówić na osobności i w sekrecie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kapitan z Köpenick na wolności.

Prasę europejską obiegła już po drutach telegraficznych wieść, że cesarz Wilhelm ułaskawił wreszcie berlińskiego szewca, Wilhelma Voigta, samozwańczego kapitana gwardyi pruskiej.

Chwilowe oburzenie, jakie ogarnęło całe Niemcy na wiadomość o „strasznej zbrodni“ Voigta, przemieniło się wkrótce w entuzyazm, szczególniej wśród Niemców południowych, którzy jak wiadomo nie cierpią Prusaków. Prasa humorystyczna nie-niemiecka miała przez kilka tygodni dość materyału



Kapitan z Köpenick na wolności: Szewc Voigt po uwolnieniu w powozie na ulicach Berlina.

Nie ma się czemu wcale dziwić, że cesarz nie chciał się zgodzić na przywrócenie wolności sławnemu facecyoniście, gdyż tenże dopuścił się strasznej w jego oczach zbrodni: odważył się ośmieszyć mundur grenadyerski, i to do tego grenadyerów gwardyi!

Powszechnie powiadają, że uwolnienie Voigta było następstwem osobistej interwencyi króla Edwarda w czasie zjazdu w Kronbergu, a uprosić o pośrednictwo miał króla związek angielski „Church Company“, który bardzo gorliwie zajął się losem skazanego.

do różnych „witzów“, które prawowiernych Prusaków doprowadzały do wściekłości, a kapitan z Köpenick stał się niejako bohaterem narodowym. Ze wszech stron zaczęły płynąć składki na jego rzecz, a surowy wyrok skłonił wielu obywateli do podania zbiorowej petycyi do cesarza z prośbą o ułaskawienie skazańca. Ale cesarz pozostawał niewzruszony!

Gdy rząd pruski zakazał dalszego zbierania składek, znaleźli się ludzie, którzy w testamentach zapewnili mu dożywotnie renty, między innymi niejaka pani Wertheim zapisała mu rentę 100 marek miesięcznie, co dozwoli mu nie powracać do kopyta, ale pędzić spokojne życie „rentiera“.

Fałszywy kapitan otrzymał także sporo ofert od kandydatek stanu małżeńskiego. Czy wybierze którą nie wiadomo, zdaje się jednak, że Amor nie ma już przystępu do jego wystudzonego wiekiem serca.

W więzieniu zachowywał się podczas dwudziestu miesięcy wzorowo i zyskiwał ciągle pochwały, to zdaje się przyczyniło się głównie do uwolnienia go, ale jak miano się przed nim na ostrożności, bojąc się ciągle jakiegoś figla, tego najlepszym dowodem, że gdy nadeszła do zarządu więzień



Reakcya w Persyi: Eni el Doule. gubernator z Khorassanu.

w Teglu depesza urzędowa, nakazująca uwolnić „bohatera z Köpenick“, zarząd nie dowierzał jej jeszcze, i obawiając się mistyfikacyi, zażądał jej potwierdzenia.

Obywatel Voigt tak był wiadomością wzruszony, że nie mógł nawet skończyć obiadu, przy którym go ta radosna nowina zastała.



Reakcya w Persyi: Muszteid Hassan Aga z Tebris, w gronie swoich doradców.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że Voigt przyjął obowiązki kasyera (a na tem zna się dobrze) w jakimś teatrze „Variete" w Kolonii za płacą miesięczną 250 franków.

Reakcya w Persyi.

Politycy nasi, zwłaszcza ci małomiasteczkowi, rozwiązujący najzawilsze kwestye przy bombce piwa, mają w tym roku sporo żeru. Rozpoczęło się od Persyi, potem przyszła Turcya, obecnie zaś znowu wróciła na stół Persya, gdzie ani spokoju nie można się doczekać, ani porządnej rewolucyi. Jest tam tylko nieustanne wrzenie, wybuchające czasami jaśniejszym płomieniem w rozmaitych stronach państwa „króla królów". Najbardziej wojowniczo przedstawia się w ostatnich czasach okolica miasta Tebris. Pozostaje ono pod władzą potężnego muszteida Hadji Mirza Hassap-Agi, oraz kliki jego doradców.



Reakcya w Persyi: Satar-Khan, przywódca konstytucyonalistów w Tebris.

Taki muszteid, jest w Persyi bardzo wielką figurą. Niby drugi szach. Należą do zakresu jego władzy wszelkie sprawy religijne, a że w Persyi kwestye polityczne wiążą się z niemi bardzo ściśle, przeto w ten sposób władza jego rozrasta się potężnie.

Mimo to nie może dać sobie rady z hydrą rewolucyi, na czele której stoi dzielny Satar-khan. Wojowniczy ten zwolennik rządów konstytucyjnych dał się muszteidowi dobrze we znaki, rozpędził też z bronią w ręku bandę Rahim-khana, który przybył pod Tebris, aby zgnieść ruch powstańczy. Zamiar ten atoli spełzł na niczem a zwycięstwo przypadło Satarowi w udziale, zwłaszcza że miał lepiej uzbrojone wojsko i więcej zapasów żywności.

Spodziewane jest w Tebris przybycie gubernatora z Khorassanu, Eni el Doulego, o którym wiadomo, iż jest mężem wielkiej energii i surowości. Czy jednak uda mu się zaprowadzić jaki ład w tem zrewolucyonizowanem mieście i okolicy, trudno dziś przewidzieć, zwłaszcza, że szach jest bardzo skąpy i nawet swym zwolennikom żałuje grosza, choćby na cele utrzymania władzy i porządku w państwie.

Tajemniczy aeroplan.

Z za oceanu, z amerykańskich Stanów Zjednoczonych dochodziły od dłuższego już czasu wiadomości, iż dwaj bracia Wright, synowie biskupa anglikańskiego z Dugtonu, zajmują się budową aeroplanu, a rezultaty, jakie osiągnęli, mają być niepospolite. Istota jednak ich pomysłu była i jest dotąd osłonięta tajemnicą. Strzegą jej pilnie obaj wynalazcy, zdaniem ich bowiem prostota konstrukcyi maszyny umożliwiłaby każdemu jej naśladownictwo.

Dotychczasowe próby odbywali obaj bracia w Ameryce, gdzie nawet zawarli z rządem Stanów Zjednoczonych umowę w kierunku dostarczenia odpowiedniej maszyny do latania. Obecnie zaś jeden z nich, Wilbur Wright, udał się do Paryża, aby tam wobec francuskich aeronautów zademonstrować swój wynalazek i przedstawić go ich ocenie.

Próbne wzloty już się odbyły, na małym torze wyścigowym La Hunanderes pod Le Mans. O ile zaś można wnosić ze sprawozdań dziennikarskich, aeroplan amerykański nie zawiódł nadziei i okazał się maszyną doskonałą.

Oczywista rzecz, że szczegóły konstrukcyi aeroplanu są dotąd tajemnicą. Wiadomo tylko tyle, ze podstawą jest latawiec skrzynkowy, złożony z dwóch płaszczyzn, że aparat jest ciężki, posiada dwie śruby i motor o sile 27 koni a waży 90 kg.

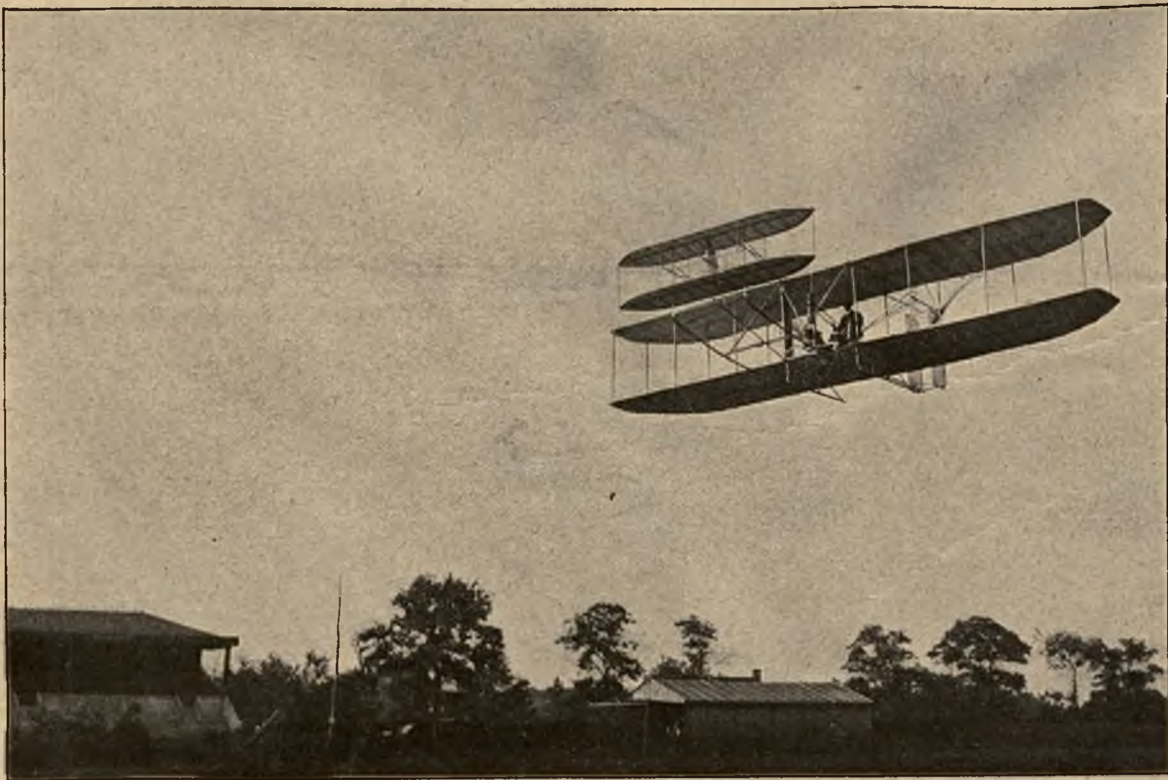


Obchód urodzin cesarskich w Wiedniu: Arcyksiąże Leopold Salwator udaje się na przegląd wojsk i defiladę.

Wiadomo dalej, że stery, aparaty i td. są wprawiane w ruch dźwigniami ręcznemi, bądź pedałami nożnymi.

O pierwszej próbie wzlotu doniesiono, że maszynę po wyprowadzeniu z remizy umieszczono na szynie rozpędowej, po czem puszczono w ruch motor. Aeroplan przebył około 20 mtr. po szynie, a następnie wzniósł się lekko w powietrze. Wright wyruszył sam w drogę, zabrał jednak ze sobą worek piasku wagi 60 kg., na dowód, iż dwu ludzi z łatwością statek udźwignie. Przelot odbywał się w wysokości 10 do 15 mtr. nad ziemią, tak iż obecni przy próbie mogli łatwo dostrzedz wszelkie ruchy wynalazcy. Zatoczył on trzykrotnie koło nad torem wyścigowym, przebywając tym sposobem około 1500 mtr. Następnie opuścił się w oznaczonem miejscu, a aeroplan opadł lekko na ziemię.

Świetne rezultaty, osiągnięte przez Wrighta już przy pierwszej próbie, potwierdzają w zupełności pierwotne doniesienia o doskonałości i doniosłości amerykańskiego aeroplanu.



Tajemniczy aeroplan: Aeroplan Wrighta podczas wzlotu na torze wyścigowym La Hunauderes pod Le Mans we Francyi.

Obchód urodzin cesarskich w Wiedniu.

W całej monarchii austryacko-węgierskiej obchodzono bardzo uroczyście dzień urodzin cesarskich, przypadający na 18 sierpnia. Nastrój był wszędzie tem podnioślejszy, że równocześnie ogłoszono amnestyę cesarską, przywracającą wolność wielu skazanym i szereg odznaczeń, jakie cesarz nadał różnym osobistościom z okazyi swego sześćdziesięcioletniego jubileuszu rządów.

We wszystkich miastach, gdzie tylko znajduje się załoga wojskowa, w wigilię dnia uroczystego odbyły się capstrzyki z muzyką po ulicach miasta ku wielkiej uciesze gawiedzi, w sam zaś dzień uroczystości, o ile na to pozwalała pogoda, odprawiono pod gołem niebem msze polowe, po których odbyła się rewia i defilada wojska.

Rzecz naturalna, że uroczystość tę obchodzili

szczególniej z pietyzmem Wiedeńczycy, którzy przepadają za swym ukochanym monarchą, a choć przebywa on w Ischlu, przecież kto żył w Wie-



Tajemniczy aeroplan: Amerykanin Wilbur Wright na swym aeroplanie.

dniu, wybrał się do błonie na „Schmelzu“, gdzie odbyła się doroczna rewja wojsk, stojących załogą w Wiedniu, tym razem w obecności arcyksięcia Leopolda Salwatora, który zastępował nieobecnego cesarza.

Illustracya nasza przedstawia arcyksięcia, udającego się na pole ćwiczeń wojskowych, celem odbycia przeglądu i defilady.

Wybór patryarchy serbskiego.

W Karłowicach nad dolnym Dunajem jest siedziba patryarchy serbskiego, duchownego zwierzchnika prawosławnych Serbów, zamieszkujących kraje korony węgierskiej.

Przed kilku miesiącami zmarł poprzedni patryarcha, Jerzy Brankowicz, to też w dniu 28 lipca zebrał się serbski kongres kościelny, aby wybrać następcę. Z powodu konfliktu między centralnym rządem węgierskim a Chorwacyą przypisywano wyborowi wielkie znaczenie i dlatego jako komisarza królewskiego do przeprowadzenia wyboru wydelegowano ministra sprawiedliwości, dra Antoniego Günthera. Właściwy wybór miał się odbyć w dniu 1 sierpnia. W kongresie reprezentowane są głównie dwie partye serbskie: radykalna i samoistna - pierwsza ma większość, dlatego też z 70 głosów 40 padło na jej kandydata, werszeckiego biskupa, Gabryela Zmejanowicza, gdy kandydat samoistnych biskup Nikolicz, otrzymał tylko 30 głosów. Nie jest wcale tajemnicą, że wybór nie odpowiada wcale życzeniom rządu węgierskiego.

Nowo wybrany patryarcha urodził się w roku 1847 w Dubanowci w Syrmii. Po ukończeniu studyów gimnazyalnych wstąpił na teologię, jednak nie czując w sobie powołania do stanu duchowego wystąpił wkrótce i poświęcił się gospodarstwu. Na skutek usilnych nalegań ówczesnego patryarchy Angyelicza wstąpił jednak do klasztoru w Kruszedole, gdzie ukończył studya teologiczne, a następnie był kapelanem wojskowym w Bośni. Poprzedni patryarcha Brankowicz, który mu bardzo ufał, powierzył mu zarząd dóbr kościelnych, a w r. 1896 synod mianował go jednogłośnie biskupem werszeckim.

Zmejanowicz uchodzi za wybitnego i należycie wyszkolonego polityka, a jest w całych Węgrzech bardzo popularny i lubiany, co nie jest wcale na rękę rządowi węgierskiemu, który wolałby na stolicy arcybiskupiej widzieć oddaną sobie kreaturę.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret nowego patryarchy Zmejanowicza.



Wybór patryarchy serbskiego: Nowy patryarcha serbski Zmejanowicz.

Król Edward w Maryenbadzie.

Po trudach i mozołach, połączonych ze sterowaniem nawy państwowej, po zjazdach, mowach i toastach, usunął się król Edward angielski w zacisze niejako domowego życia w Maryenbadzie, a pędzi je bardzo pojedynczo, zupełnie jak przeciętny „zjadacz chleba“ — nie jak głowa koronowana.

Mieszka zawsze w tym samym hotelu, a dwór jego nie przypomina niczem dworu panującego — słowem w Maryenbadzie czuje się chorym, szukającym zdrowia, a nie królem, różniącym się od innych śmiertelników.



Nowy premier japoński: Marquis Katsura.

Wogóle król Edward cieszy się ogromną sympatyą między maryenbadzkimi kuracyuszami i miejscowymi mieszkańcami, którym dość grajcarów wpływa przez niego do kieszeni.

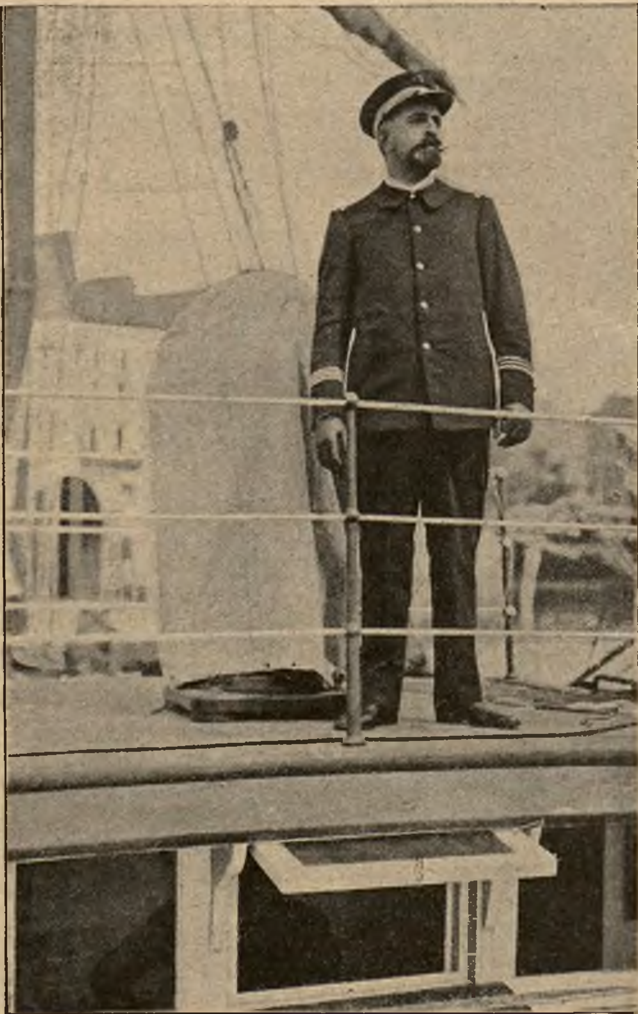
Swoją drogą mieszkańcy Maryenbadu już przyzwyczaili się do swojego dostojnego gościa, który od szeregu lat odwiedza Maryenbad i starają się o ile możności nie naprzykrzać się królowi, który przebywa w Maryenbadzie w ścisłem incognito, jako ks. Lancaster.

I miejscowa władza troszczy się o swobodę dla



Król Edward w Maryenbadzie: Siedzący na ławce król Edward (X) przypatruje się spacerującej po deptaku publiczności.

króla, gdyż jak czytaliśmy, miejscowy starosta, ks. Lichtenstein, przed samem przybyciem króla ogłosił odezwę do mieszkańców Maryenbadu i gości z prośbą, aby za królem tłumnie nie postępowali, gdy zmuszony wymogami kuracyi udaje się na przechadzkę, a zarazem, aby nie fotografowali króla, który tego nie lubi.



Podróż do bieguna południowego Dr. Charcot na pokładzie swego okrętu przed rozpoczęciem podróży.

Bezpieczeństwa monarchy strzeże cały legion tajnych ajentów policyjnych z Wiednia, Pragi i Londynu, więc oni sami robią „ruch“ wokoło — ale już najbardziej dają się królowi we znaki nasi galicyjscy „Arabowie“ i ich pobratymcy z Królestwa, którzy, wydawszy pieniądze na kuracyę, chcieliby przy tej sposobności zobaczyć i wszystkie osobliwości Maryenbadu, a widok króla, to bezsprzecznie jedna z największych osobliwości, szczególniej dla galicyjskiego żydka, który panującego zna tylko z wizerunku na monetach.

To też od ich natrętctwa chroni się król, gdzie może, nie zawsze mu się to jednak udaje, gdyż jak wiadomo maryenbadzka kuracya wymaga wiele ruchu na świeżem powietrzu.

Illustracya nasza przedstawia właśnie odpoczynek króla na ogólnym deptaku po spacerze, a ku niemu zbliża się grupa naszych obywateli mojżeszowego wyznania, którzy bardzo licznie odwiedzają obecnie Maryenbad.

Podróż do bieguna południowego.

Często bardzo czytamy o ekspedycyach naukowych, wysyłanych celem zbadania bieguna północnego; biegun południowy nie ma tylu zwolenników, gdyż i dostęp jest o wiele trudniejszy i sama okolica jest jak dotąd bardzo mało znana, a badanie jej nastręcza bardzo wiele niebezpieczeństw.

W dniu 15 sierpnia wyruszył właśnie francuski podróżnik, dr. Charcot, z Hawru na specyalnie w tym celu zbudowanym okręcie „Pourquoi pas?“, by prowadzić dalej badania nad południowemi okolicami podbiegunowemi.

Okręt dra Charcota jest pięknym trójmasztowcem o pojemności 800 ton, posiada maszynę parową o sile 550 koni, co umożliwia mu posuwanie się z chyżością ośmiu węzłów na godzinę. Zbudowano go w warsztatach francuskich prawie wyłącznie z drzewa pod okiem śmiałego podróżnika. Szczególniej wiele obiecuje sobie dr. Charcot po swoich sankach automobilowych, własnego wynalazku, które mają ułatwić lokomocyę w tych krainach wiecznego śniegu.

Sanki te posiadają motor o sile $2^3/_4$ H. P. i mogą się posuwać z chyżością 4 lub 8 kilometrów na godzinę. Wynalazca już je niejednokrotnie wypróbował i z wielką łatwością posuwają się czy-to po śniegu, czy po lodzie, czy pod górę, czy na dół.

Ta okoliczność o tyle ułatwia podróż, że nie trzeba brać ze sobą psów, które pożerały wielką ilość zapasów i ulegały chorobom.

Załoga okrętu, zaopatrzonego w prowianty na lat trzy, a oświetlonego elektrycznie, zapomocą maszyn okrętowych, składa się z trzydziestu ludzi, z których część brała już udział w poprzedniej wyprawie Charcota.



Podróż do bieguna południowego: Okręt »Pourquois pas?« na którym wyruszyła z Hawru wyprawa dra Charcota.

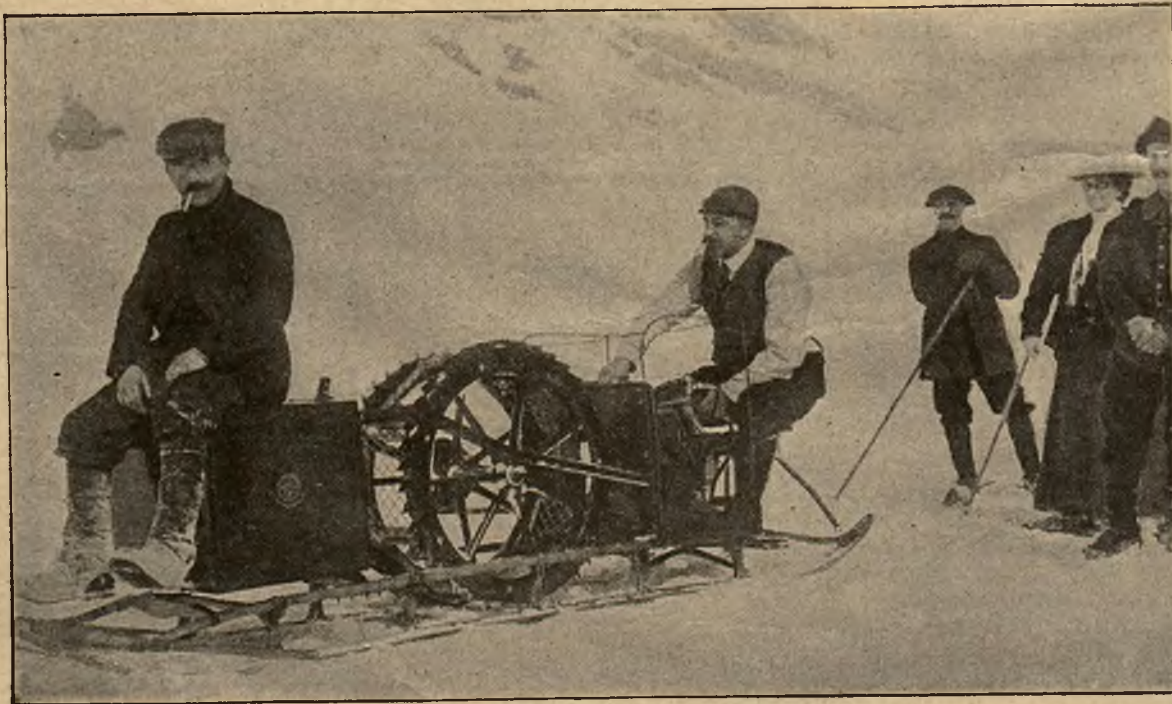
Jako środkowy punkt, z którego wyruszać będą ekspedycye naukowe, obrano wyspę Booth-Wandel, gdzie będzie główna kwatera i skład prowiantów, tutaj także pozostawi Charcot nieliczną załogę. Pierwsza ekspedycya uda się do kraju Loubeta, stąd dalej czynione będą poszukiwania w kierunku południowym, już to łodziami, już też saniami, a jeśli się uda dotrzeć do kraju Aleksandra I., skieruje się stąd do kraju Edwarda VII. naturalnie, o ile na to pozwolą miejscowe stosunki atmosferyczne. Przezimowanie odbędzie się na stałym lądzie w miejscu uznanem za najodpowiedniejsze. Lecz i w zimie ekspedycya nie będzie próżnować, lecz przedsięweźmie wycieczki wzdłuż wybrzeży i w głąb kraju, aby zebrać jak najwięcej materyałów, któreby potem można zużytkować.



Jubileuszowe kartki korespondencyjne: Wydana w dniu 18 sierpnia kartka z portretem cesarza i widokiem Burgu i Schönbrunnu.

Celem głównym wyprawy jest dokładne zbadanie południowego podbiegunowego kontynentu, na drugim dopiero planie są starania odkrycia bieguna południowego.

Do obecnej wyprawy przywiązuje dr. Charcot wiele nadziei, twierdząc słusznie, że tamtejszy ląd stały, równający się rozmiarami Europie i Australii, zawiera nieprzebrane skarby, dotąd jeszcze ukryte przed oczami świata — dość powiedzieć, że z pierwszej swej podróży przywiózł pięć tysięcy szklanych naczyń z różnymi okazami, a spostrzeżenia swoje zamknął w ośmiu potężnych tomach.



Podróż do bieguna południowego: Automobilowe sanki, pomysłu dra Charcota.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA

przez Maurycego Leblanc.

5

W sali rozległ się szmer. Ale prezydent powtórzył:

— Baudru? Dezyderyusz? Więc nowe wcielenie? Jest to blisko ósme nazwisko, do którego się pan przyznajesz, a zapewne tak samo jest zmyślone jak wszystkie inne; będziemy się trzymali, jeśli pan pozwolisz, imienia Arsena Lupin, pod którem jesteś znany bardziej pochlebnie.

Tu prezydent przerzucił notatki, poczem zaczął znowu:

— Mimo wszelkich poszukiwań niepodobna sprawdzić pańskiej tożsamości. Przedstawiasz pan dość dziwny w naszem społeczeństwie dzisiejszem wypadek: brak przeszłości. Nie wiemy, kim pan jesteś, skąd pochodzisz, gdzie upłynęło pańskie dzieciństwo, jednem słowem, nie wiemy nic. Trzy lata temu wyrosłeś pan nagle niewiadomo skąd, jako Arsen Lupin, dziwna mieszanina inteligencyi i przewrotności, nieuczciwości i szlachetności. Dane, jakie zebraliśmy o panu z przeszłości, są raczej domysłami. Być może, iż niejaki Rostat, który przed ośmiu laty popisywał się z kuglarzem Dicksonem, był właśnie Arsenem Lupin. Być może również, że student rosyjski, który przed sześciu laty pracował w szpitalu świętego Ludwika przy doktorze Altier i nieraz zadziwiał go pomysłowością hypotez w bakteryologii i śmiałością doświadczeń w chorobach skórnych, nie był nikim innym tylko Arsenem Lupin. Arsen Lupin to także nauczyciel szermierki japońskiej, który osiadł w Paryżu o wiele wcześniej, niż wiedziano coś o *dżiu-dżitsu*. Arsen Lupin, jak przypuszczamy, jest może cyklistą, który wygrał wielką nagrodę Wystawy, wziął swoje 10.000 franków i nie pojawił się więcej. Arsen Lupin może być także tym, który ocalił tylu ludzi przez małe okienko na strychu podczas pożaru Bazaru Dobroczynności — i potem ich ograbił.

Po małej przerwie prezydent zakończył:

— Takim jest ten przeciąg czasu, który, jak się zdaje, spożytkowałeś pan wyłącznie na przygotowanie się do walki, jaką wytoczyłeś społeczeństwu, oraz na systematyczną naukę doprowadzenia do najwyższego stopnia swojej siły, energii, zręczności. Przyznajesz pan prawdziwość tych faktów?

Podczas całego tego przemówienia obwiniony ze zgarbionym grzbietem, z opuszczonemi rękami przestępował z nogi na nogę. Przy żywszem świetle zauważono nadzwyczajną jego chudość, zapadłe policzki, kości licowe dziwnie wydatne, ziemistą barwę twarzy z drobnemi czerwonemi plamami, brodę nierówną, rzadką. Więzienie dziwnie uczyniło go starym i zwiędłym. Trudno było odnaleść w nim tę dawną elegancką postać i młodą twarz, której sympatyczne portrety tak często podawały dzienniki.

Zdawałoby się, że nie słyszał postawionego mu pytania. Dwukrotnie trzeba je było powtórzyć. Wreszcie podniósł oczy, zdawał się namyślać i jakby czyniąc nadzwyczajny wysiłek, wyszeptał cicho:

— Baudru, Dezyderyusz.

Prezydent zaśmiał się.

— Nie zdaję sobie dokładnie sprawy z systemu obrony, jaki sobie obierasz. Jeżeli grasz pan idyotę i nieodpowiedzialnego — pańska wola. Co do mnie, idę prosto do celu, nie zważając na pańskie fantazye.

Zaczął wyłuszczać szczegóły kradzieży, napadów i fałszerstw, zarzucanych Lupinowi. Niekiedy zwracał się z pytaniem do oskarżonego. Ten wówczas mruczał coś niewyraźnie, albo nie odpowiadał zgoła.

Rozpoczęła się defilada świadków. Niektóre zeznania były nic nieznaczące, inne poważniejsze, lecz wszystkie miały ogólny charakter wzajemnego sobie przeczenia. Jakaś niepokojąca ciemność osłaniała rozprawę, lecz wprowadzono głównego inspektora Ganimarda i zainteresowanie się podniosło.

Od początku wystąpienia stary policyant wzbudzał pewne zdziwienie. Wyglądał nie onieśmielony — nie było do tego przyczyny — ale jakby zaniepokojony, niezadowolony z czegoś. Kilkakrotnie zwracał oczy na oskarżonego z widocznem zmieszaniem. Jednakże z rękami wspartemi o balustradę opowiadał wypadki, w których brał udział, swoją pogoń przez całą Europę, przybycie do Ameryki. Słuchano go chciwie, jak się słucha najfantastyczniejszych wypadków. Jednakże przy końcu, potrącając o swe stosunki z Arsenem Lupin, parę razy zatrzymał się niepewny, roztargniony.

Widocznem było, że inna jakaś myśl go pochłania.

Prezydent odezwał się:

— Jeśli czujesz się pan niedobrze, może lepiej byłoby odłożyć zeznania.

— Nie, nie, tylko...

Zamilkł, wpatrzył się w oskarżonego długo, głęboko, poczem wyrzekł:

— Proszę o pozwolenie zbadania oskarżonego zbliska. Jest tu jakaś tajemnica, którą muszę wyjaśnić.

Zbliżył się, z całą siłą natężonej uwagi przyglądał się długo więźniowi, poczem wrócił do balustrady. Tu tonem nieco uroczystym i spokojnym wygłosił:

— Panie prezydencie! twierdzę, że ten człowiek, który oto przedemną stoi, nie jest Arsenem Lupin.

Ogromna cisza zapanowała w sali. Prezydent zrazu zmieszany, wykrzyknął:

— Ach! cóż to pan mówisz? Szaleństwo!

Inspektor potwierdził stanowczo.

— Za pierwszem spojrzeniem można się pomylić, pewne podobieństwo bowiem istnieje, przyznaję, ale wystarczy tylko przyjrzeć się z uwagą. Nos, usta, włosy, cera... zresztą, to nie Arsen Lupin. Albo oczy! Czy miał on kiedy oczy alkoholika?

— Powoli, powoli... wyjaśnijmy bliżej. Cóż świadek przypuszcza?

— Albo ja wiem? Podstawił na swoje miejsce jakiegoś biedaka, któregoby zamiast niego osądzili i ukarali. A może to jaki spólnik jego...

Ze wszystkich stron sali wybuchły okrzyki, śmiechy, wołania. Prezydent kazał przywołać sędziego, dyrektora więzienia, stróżów więziennych i zawiesił posiedzenie.

Po przerwie pan Bouvier i dyrektor, skonfrontowani z obwinionym, orzekli, iż między tym człowiekiem a Arsenem Lupin istnieje tylko słabe podobieństwo.

— Ale w takim razie — zawołał prezydent — któż jest ten człowiek? Skąd się on wziął? Jakim sposobem znajduje się w rękach sądu?

Wprowadzono dwóch strażników więziennych. Zadziwiającym wypadkiem poznali odrazu w więźniu człowieka, nad którym czuwali kolejno. Prezydent odetchnął.

Ale jeden ze strażników podjął:

— Tak, tak, sądzę, że to jest on.

— Jakto sądzisz?

— Ba! widziałem go tak mało! Oddano mi go wieczorem, a przez te dwa miesiące leżał ciągle, obrócony do ściany.

— A przed dwoma miesiącami?

— O, przedtem zajmował celę 24.

Dyrektor więzienia zwrócił uwagę sądu:

— Zmieniliśmy celę więźniowi po jego próbie ucieczki.

— Ale pan, panie dyrektorze, widywałeś go przez te dwa miesiące?

— Nie było potrzeby widywać... Zachowywał się spokojnie.

— I ten człowiek nie jest więźniem, który panu był oddany?

— Nie jest.

— Więc kimże jest?

— Nie umiałbym powiedzieć.

— Jesteśmy zatem wobec wypadku substytucyi, który miał miejsce dwa miesiące temu. Jak pan to wytłomaczysz?

— To jest niemożebne.

— Więc jakże?

I ku ostatecznemu zmieszaniu dyrektora, prezydent zwrócił się do oskarżonego i zachęcającym głosem zapytał:

— Cóż, oskarżony, nie mógłbyś nam wytłomaczyć, jak i od kiedy znajdujesz się w rękach sprawiedliwości?

Można było powiedzieć, że życzliwy ton prezydenta rozbroił nieufność człowieka, zmuszając go niejako do zeznań. Próbował odpowiedzieć. Nakoniec zręcznie i łagodnie wypytywany zdołał zebrać kilka faktów, które tak brzmiały: Przed dwoma miesiącami zabrano go do aresztu. Przepędził tam noc i ranek. Ponieważ posiadał siedmdziesiąt centimów pozwolono mu odejść. Ale gdy przechodził przez podwórze, dwóch strażników wzięło go pod ręce i zaprowadziło do więziennego wozu. Odtąd siedzi w więzieniu w celi 24; nie jest mu źle... je się tam dobrze... śpi się dobrze... Nie protestował zatem...

Wszystko to wydawało się prawdopodobnem. Wśród śmiechów i ogromnego podniecenia prezydent odłożył rozprawę dla bliższego przeprowadzenia śledztwa.

* * *

Poszukiwania, przeprowadzone natychmiast, wykazały z zapisków sądowych co następuje: przed ośmiu tygodniami niejaki Baudru Dezyderyusz przepędził noc w areszcie. Nazajutrz puszczony na wolność opuścił areszt o drugiej popołudniu. Była to właśnie godzina i dzień, kiedy Arsen Lupin badany na śledztwie po raz ostatni, odjeżdżał wozem więziennym.

Czy strażnicy zwiedzeni podobieństwem popełnili omyłkę? W chwili jakiejś nieuwagi zamienili więźnia na jakiegoś innego, zupełnie obcego człowieka? Czy była to jakaś grzeczność zupełnie niedopuszczalna w ich urzędowaniu?

A może zamiana była z góry uplanowana? Oprócz tego, że samo położenie miejsc czyniło rzecz prawie nie do spełnienia, trzeba jeszcze przypuścić, że Baudru był spólnikiem Arsena Lupin i dał się zaaresztować dobrowolnie w celu zastąpienia go w więzieniu. Ale w takim razie jakim cudem plan, osnuty li tylko na mało prawdopodobnych wypadkach, przypadkowych spotkaniach, omyłkach nadzwyczajnych, mógł powieść się tak znakomicie?...

Przeprowadzono nad Dezyderyuszem Baudru badania antropometryczne, lecz nie znaleziono żadnych wskazówek podobnych jego wymiarom. Zresztą wpadli prędko na jego ślady. Znany był w Courbevoie, w Asnières, w Levallois. Żył z jałmużny, sypiał w lepiance gałganiarza za rogatką Terneńską. Od roku wszakże gdzieś zaginął.

Czy był namówiony przez Arsena Lupin? Nic na to nie wskazywało. A gdyby nawet tak było, nie rzucałoby to żadnego światła na zniknięcie więźnia. Cud pozostał cudem. Stawiano ze dwadzieścia hypotez: żadna nie zadowolała. Jedynie ucieczka była pewną, ucieczka nieprawdopodobna, osobliwa, w której publiczność i sam nawet sąd czuł długie, staranne przygotowania, cały szereg aktów, cudownie połączonych jeden z drugim, których rozwiązanie usprawiedliwiało w zupełności wyzywającą zapowiedź Arsena Lupin: „Nie będę na mojej rozprawie!“

Po miesiącu najstaranniejszych poszukiwań, zagadka pozostała tak samo nierozwiązaną jak przedtem. Nie można wszakże było do nieskończoności trzymać pod kluczem tego biedaka Baudru. Sprawa jego sama przez się była wprost śmieszną: jakie zarzuty można było stawić przeciw niemu? Samo przeprowadzenie śledztwa było dla niego wyrokiem uwalniającym. Wszakże szef tajnej policyi postanowił rozciągnąć nad nim ciągły, a baczny nadzór.

Uczynił to na przedstawienie Ganimarda. Z punktu widzenia Ganimarda nie było tu ani spólnictwa, ani przypadku. Baudru był raczej narzędziem w rękach Arsena Lupin, którem ten umiał posłużyć się z nadzwyczajną zręcznością. Skoro Baudru zostanie wolny, łatwo będzie po jego śladach dojść, jeśli nie do samego Arsena Lupin, to choćby do kogoś z jego szajki.

Dodano Ganimardowi dwóch inspektorów, Folenfanta i Dieuzy i pewnego poranku, w pochmurny dzień styczniowy, drzwi więzienia otwarły się przed wychodzącym Dezyderyuszem Baudru.

Zrazu był jakby zakłopotany, postąpił kilka kroków niepewnie, jak człowiek, który sam dobrze nie wie co zrobić ma z swoim czasem. Skierował się wreszcie na ulicę La Santé, stamtąd poszedł na Saint-Jacques.

Przed sklepikiem handlarza starzyzną zdjął żakiet i kamizelkę, sprzedał tę ostatnią za kilka groszy i ubrawszy się w żakiet, ponownie ruszył dalej.

Przeszedł na drugi brzeg Sekwany. W Châtelet omnibus go dopędził. Chciał wsiąść. Nie było miejsca. Konduktor poradził wziąć mu bilet; wszedł zatem do poczekalni.

W tej chwili właśnie Ganimard przywołał do siebie dwóch swoich pomocników i nie spuszczając z oka budynku poczekalni, rzucił im z pośpiechem:

— Zawołajcie dorożkę... nie, lepiej dwie dorożki. Pojadę za nim z jednym z was.

Rzucili się po dorożki. Ale Baudru nie pokazywał się. Ganimard zajrzał do wnętrza sali. Była pusta.

— Idyota ze mnie — mruknął — zapomniałem o drugiem wyjściu.

Rzeczywiście budynek łączył się tylnym korytarzem z poczekalnią w ulicy Saint-Martin. Ganimard puścił się tamtędy. Wypadł na ulicę właśnie w chwili, kiedy Baudru na imperiału omnibusu Batignolles — Jardin des Plantes skręcał już na ulicę Rivoli.

Ganimard biegnąc dopadł omnibusu. Ale zgubił dwóch swoich agentów; sam jeden zatem musiał odtąd śledzić Baudru.

Wpadł w taką wściekłość, że gotów był bez żadnej ceremonii chwycić go za kołnierz. Bo czyż nie z rozmyślną przebiegłością ten niby idyota rozłaczył go z pomocnikami?

Popatrzył na Baudru. Siedząc na ławeczce drzemał najspokojniej; głowa przechylała mu się to na prawo, to na lewo; usta miał wpółotwarte, a na twarzy malował się wyraz najzupełniejszej głupoty.

Nie, bezwątpienia, nie jest to przeciwnik, który może zbić z tropu starego Ganimarda. Przypadek mu usłużył, nic więcej.

Przy skrzyżowaniu ulic Galeries i Lafayette, Baudru wysiadł z omnibusu i wskoczył do tramwaju, idącego na ulicę Muette. Przejechali bulwar Hausmana, aleję Wiktora Hugo. Zaledwo na ostatniej stacyi Baudru wysiadł. Wolnym krokiem zagłębił się w aleje Lasku Bulońskiego.

Przechodził z alei do alei, powracał, oddalał się znowu. Czy szukał czego? Czy miał na ogół cel jaki?

Po godzinie takiego błąkania się zdawał się być wyczerpanym do ostatka. Spostrzegłszy ławkę usiadł. Miejsce to niedaleko Auteuil, ocienione drzewami. nad brzegiem małego stawku było puste zupełnie.

Przeszło tak pół godziny. Ganimard zniecierpliwiony postanowił rozpocząć rozmowę.

Zbliżył się zatem, usiadł na ławce obok Baudru. Zapalił papierosa i końcem laski rysując koła na piasku, przemówił niedbale:

— Niebardzo dziś ciepło.

Cisza. I nagle rozległ się wybuch śmiechu; śmiechu wesołego, rozbawionego, śmiechu dziecka, które nie może wstrzymać się od szalonego wybuchu wesołości.

Ganimard uczuł wyraźnie, namacalnie, jak włosy dębem stają mu na głowie. Ten śmiech, ten piekielny śmiech, znany wszystkim aż nazbyt dobrze!

Gwałtownym ruchem chwycił śmiejącego się za klapy surduta i silnie, głęboko zajrzał mu w twarz. Tam w sądzie nie patrzył tak silnie I ujrzał innego człowieka, lub raczej tego samego — i zarazem kogoś innego, prawdziwego.

Usilnie natężając wzrok, odnalazł gorący blask jego oczu, w twarzy wychudzonej pod oszpeconym naskórkiem spostrzegł ciało takie, jakiem było istotnie, i poprzez wykrzywiony brzydki grymas ust, usta prawdziwe. Były to oczy tamtego, usta tamtego, był to przedewszystkiem ten wyraz znany, ostry, żywy, szyderczy, sprytny i tak jasny, tak młody!

— Arsen Lupin, Arsen Lupin... — bełkotał Ganimard.

I nagle uniesiony wściekłością rzucił się, ścisnął go za gardło, usiłując przewrócić. Mimo lat pięćdziesięciu posiadał siłę nie często spotykaną; przeciwnik zaś jego zdawał się być w gorszych o wiele warunkach. Co za tryumf módz go pokonać znowu!

Walka była krótka. Arsen Lupin zaledwo się bronił. I naraz Ganimard zarówno szybko jak zaatakował tak nagle puścił przeciwnika. Prawe ramię zwisło mu sztywne, nieruchome.

— Gdybyś pan brał lekcye *dżiu-dżitsu* przy ulicy Orfévres — odezwał się Lupin — wiedziałbyś, że cios ten nazywa się po japońsku: *udi-shi-ghi*...

I dodał zimno:

— Chwila jeszcze, a złamałbym panu rękę; i miałbyś to, na co zasługujesz. Jakto? pan stary druh, którego poważam, przed którym odkrywam nieraz moje incognito, pan nadużywasz mego zaufania? To brzydko...

— Cóż tam znowu? Co panu?

Ganimard milczał. To uwolnienie więźnia, za które czynił siebie odpowiedzialnym — bo czyż nie on przez swoje sensacyjne oświadczenie wprowadził w błąd sędziów? — to uwolnienie staje się hańbą jego policyjnej karyery. Łza stoczyła mu się na siwy wąs.

— Eh, na Boga Ganimardzie, nie psujże sobie żółci! Gdybyś nie ty powiedział, urządziłbym tak, aby ktoś inny to zrobił... Pomyśl tylko, czyż byłbym dozwolił, aby skazano Dezyderyusza Baudru?...

— Więc to prawda? — wyjąkał Ganimard — pan byłeś tam? i pan tu jesteś?

— Ja, zawsze ja, jedynie ja.

— Czy to możebne?

— Och, wcale nie trzeba na to być czarodziejem. Dostatecznie tylko, jak mówił ten poczciwy prezydent, wyćwiczyć się dobrze przez lat dwanaście i jest się gotowym na wszystkie możebne wypadki.



... Ganimard ścisnął go za gardło, usiłując przewrócić.

— Ale pańska twarz, pańskie oczy?

— Rozumiesz pan dobrze, że jeśli przez ośmnaście miesięcy pracowałem w Saint-Louis przy doktorze Altier, to nie przez miłość dla nauki. Myślałem, że ten, który będzie miał kiedyś zaszczyt nazywać się Arsenem Lupin, powinien przełamać zwykłe prawa pozornego wyglądu i tożsamości. Wygląd? układa się podług własnej woli. Takie wstrzykiwanie parafiny pod skórę wzdyma ją w każdem dowolnem miejscu. Kwas pyroglasowy przeistacza w Mohikana. Wyciąg jaskółczego ziela ozdabia liszajami i wypryskami najwspanialszego efektu, taki a taki proceder chemiczny działa na porost włosów i brody, inny — na dźwięk głosu. Dodaj pan do tego dwa miesiące pobytu w celi numer 24, po tysiąc razy powtarzane ćwiczenia otwierania ust w kierunku tej bródy, trzymania głowy podług tego pochylenia, wygięcia grzbietu i t. p. Nakoniec parę kropli atropiny, aby wzrok stał się niepewny i bezmyślny — i rzecz skończona.

— Nie pojmuję, jak mogli stróże...

— Przeistoczenie to nie dokonało się nagle; nie mogli zauważyć codziennej, postępowej mej zmiany.

— A ten Baudru Dezyderyusz?

— Baudru istnieje. Poczciwy biedak, spotkałem go zeszłego roku; nie bez tego, aby nie było między nami pewnego podobieństwa rysów. W przewidywaniu aresztu zawsze możliwego, jemu zapewniłem swobodę, a sam oddałem się badaniu tych poszczególnych rysów, które tworzyły między nami różnice, aby później zatrzeć je w sobie, o ile się da najdoskonalej. Przyjaciele moi postarali się o to, aby przepędził noc w areszcie, skąd wyprowadzono go prawdopodobnie wtedy, kiedy mnie miano tam prowadzić; tożsamość zatem jeszcze łatwiej mogła się potwierdzić. Bo zechciej pan zauważyć, trzeba było, aby wpadli na ślad jego przejścia; inaczej nie przyszliby do pytania: kto jestem? Dostawszy zaś w ręce tego nieocenionego Baudru, nie mogli uważać pan? nie mogli go przeoczyć i mimo wszelkie nieprzezwyciężone trudności takiego podstawienia, woleli uwierzyć w niemożebność, niż przyznać się do własnej nieświadomości.

— Tak, tak, oczywiście... — mruczał Ganimard.

— A nakoniec — wykrzyknął Arsen Lupin — miałem w ręku wspaniałe atuty, kartę, jaką ułożyłem sobie od początku: zdumienie, spowodowane moją ucieczką! I tu jest ta gruba omyłka, w którą pan wpadłeś i tamci w tej grze namiętnej, jaką prowadziliśmy z sobą, sąd i ja, a której stawką była: wolność moja! Przypuszczaliście raz jeszcze, że kierowałem się chęcią popisywania się, że upojony byłem powodzeniem jak smarkacz. Ja, Arsen Lupin, i takie dziecińtswa! Nie dalej jak w sprawie Cahorna sam pan powiedziałeś: „Jeśli Arsen Lupin rozgłasza publicznie, że ucieknie z więzienia, to dlatego tylko, że ma tysiące powodów, które każą mu rozgłaszać“. Na Boga, zechciejże pan zrozumieć, że, aby uciec... zanim uciekać, trzeba wprzód, aby wszyscy uwierzyli w ucieczkę, aby stało się to artykułem wiary, gruntownem przekonaniem, prawdą tak jasną jak słońce. I stało się tak, stało się z mojej woli. Arsen Lupin ucieknie, mówiono sobie, Arsen Lupin nie będzie na swojej rozprawie. I kiedy pan wypowiedziałeś te słowa: „ten człowiek nie jest Arsenem Lupin“, byłoby wprost nienaturalnem, gdyby się zjawił choć jeden człowiek, któryby nie uwierzył, że nie jestem Arsenem Lupin. Aby tylko zwątpił ktoś jeden, aby ktoś jeden tylko zrobił tę prostą uwagę: „A jeśli to Arsen Lupin?“ byłbym zgubiony. Wystarczyło tylko zbliżyć się ku mnie, nie z tem przekonaniem, jak pan i inni, że nie jestem Arsenem Lupin, ale z przypuszczeniem, że mogę być wszakże Lupinem i pomimo wszystkich z mej strony zabiegów poznanoby mnie. Ale mogłem być spokojny. Ani z punktu logicznego, ani psychologicznego nikt nie mógł powziąć tego drobnego prostego przypuszczenia.

Ujął nagle rękę Ganimarda.

— Słuchaj Ganimard! przyznaj, że w tydzień po naszem widzeniu się w więzieniu oczekiwałeś mnie u siebie, o czwartej godzinie, jak o to cię prosiłem?

— No, a wóz więzienny? — spytał Ganimard, unikając odpowiedzi.

— Bagatela! To już moi przyjaciele tak sobie dla próby wymyślili, zamieniając stary, nieużyteczny już wóz. Ale wiedziałem, że bez szczególnie szczęśliwych okoliczności cały proceder byłby do niczego. Uważałem wszakże za potrzebne przeprowadzić tę próbę ucieczki i nadać jej rozgłos co największy.

Ucieczka pierwsza, wykombinowana śmiało, nadawała drugiej pewną wartość urzeczywistnienia już naprzód.

— A więc i cygaro...

— Wydrążone było przezemnie tak jak i nóż.

— A te kartki?

— Także sam pisałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Urodziny cesarskie w Przemyślu.

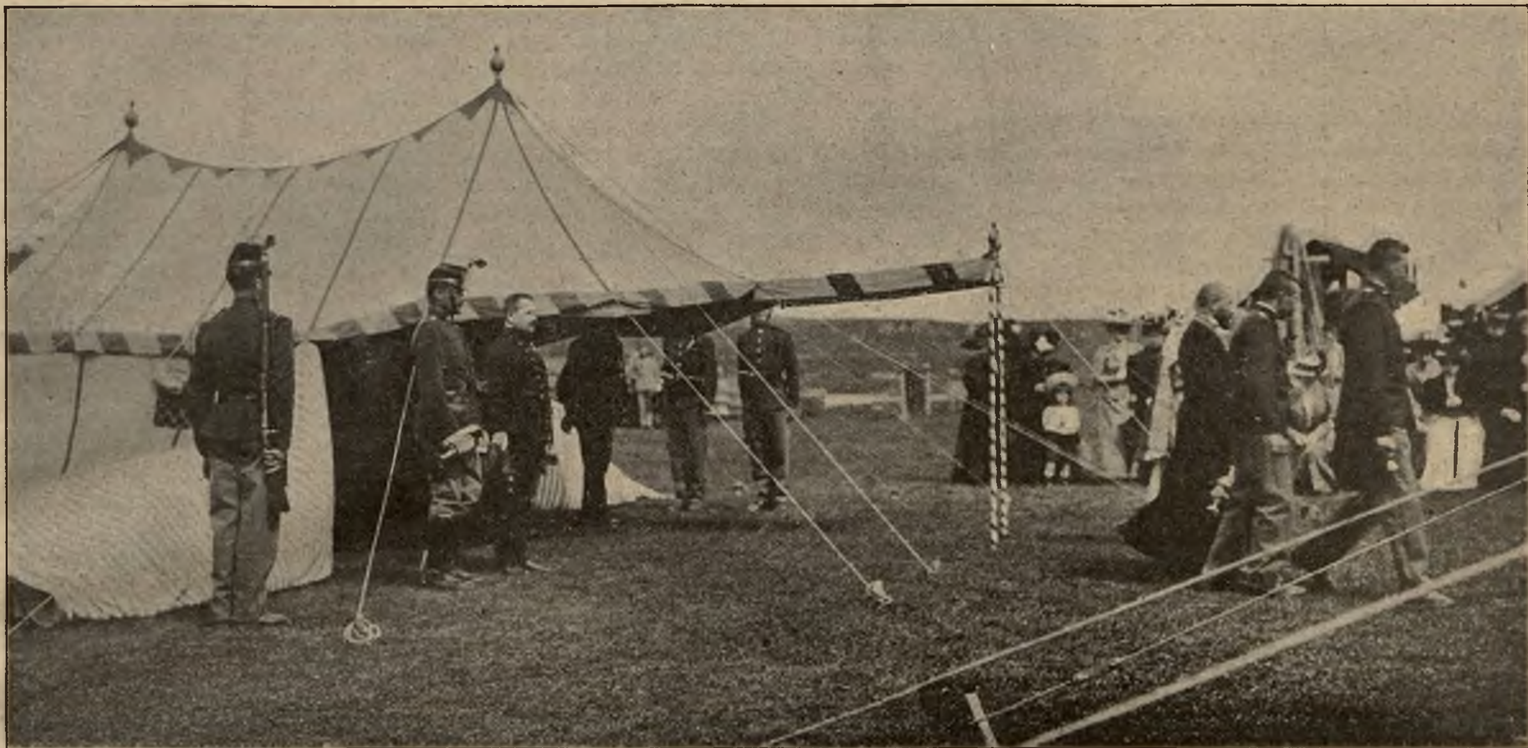
W całej Austryi obchodzono w bieżącym roku rocznicę urodzin cesarskich z wielką uroczystością. O ile pogoda dopisała, odbyły się we wszystkich miastach garnizonowych msze polowe, przy bardzo licznym udziale publiczności.

W Krakowie z powodu niepogody, odbyła się msza dla załogi w kościele św. Piotra, w Przemyślu natomiast wypadła wspaniale uroczystość wojskowa na tamtejszych „Błoniach“, gdyż pogoda była bardzo piękna.

Z okazyi jubileuszu cesarskiego i napływ publiczności był daleko liczniejszy, niż w latach poprzednich.

Po mszy polowej odbyła się defilada załogi przemyskiej wobec komendanta korpusu, generała zbrojmistrza Pino von Friedenthal, otoczonego mnóstwem oficerów. W południe odbył się w kasynie wojskowem uroczysty obiad, w którym wzięli udział oficerowie wszystkich pułków, stacyonownych w Przemyślu i okolicy.

Illustracye nasze przedstawiają fotograficzne zdjęcia z mszy polowej, mianowicie chwilę, gdy celebrans w otoczeniu wojskowego duchowieństwa opuszcza namiot, oraz publiczność przypatrującą się defiladzie.



Urodziny cesarskie w Przemyślu: Celebrans w otoczeniu asysty opuszcza kaplicę, aby udzielić wojsku błogosławieństwa.

Zgon znakomitego Jezuity.

Zakon Jezuitów i całe nasze społeczeństwo poniosło dotkliwą stratę przez śmierć znakomitego kaznodziei, a zarazem bardzo światłego człowieka, ks. Stanisława Załęskiego, który zmarł w Nowym Sączu w dniu 23 sierpnia.

Zmarły cieszył się ogromną wziętością w całym kraju jako znamienity kaznodzieja i konferencyonista, którego rekolekcyjne rozmyślania wielkopostne tłumnie były odwiedzane przez sfery inteligentne całego kraju. Jak długo śp. zmarłemu służyło zdrowie, objeżdżał też miasta galicyjskie i wygłaszał w nich swe podniosłe nauki.

Śp. ks. Stanisław Załęski urodził się w Krakowie w r. 1843 i tu pod okiem matki rozpoczął się kształcić lecz już w r. 1857, idąc za głosem powołania, wstąpił do zakonu OO. Jezuitów. Nowicyat i studya odbył w Baumgartenbergu, potem w Starej Wsi i Krakowie. W młodości swojej zajmował się gorąco literaturą i historyą polską, powołano go też już w r. 1864 do Tarnopola, gdzie przez lat sześć uczył w tamtejszym konwikcie historyi literatury polskiej. Podczas przygotowywania się do wykładów tarnopolskich zmuszony był czytać różne dzieła, których autorowie nieraz bardzo ujemnie wyrażali się o zakonie, do którego należał, a owocem tych studyów była rozprawa: „Przyczyny upadku Polski“, której jednak drukiem nie ogłosił, a następnie dzieło: „Czy Jezuici zgubili Polskę“, drukowane po raz pierwszy w r. 1871.

Po wyświęceniu w r. 1871 oddał się głównie pracy kaznodziejskiej, pracował także na niwie literackiej, jako recenzent *Przeglądu lwowskiego*. Z tych czasów pochodzi także jego drukowane dzieło: „Zniesienie zakonu Jezuitów i ich zachowanie na Białej Rusi“.



Zgon znakomitego Jezuity: Ś. p. Ks. Stanisław Załęski T. J.

Przez szereg lat był on przełożonym rezydencyi przy kościele św. Barbary w Krakowie, następnie we Lwowie i Nowym Sączu.

W ciągu lat trzydziestu zbierał śp. Załęski materyały do swego największego dzieła: „Jezuici w Polsce“, którego ostatni, piąty tom, wydał w r. 1906.

Prócz tego pozostała po nim spuścizna literacka pod postacią licznych broszur, przeważnie treści polemicznej i artykułów, umieszczanych w różnych pismach. Był on w swoim czasie biczem Bożym na socyalistów, którzy jednak cenili w nim prawość charakteru.

Ks. Załęski był też współzałożycielem „Misyi katolickich“ i „Przeglądu powszechnego“. Jego dzieło „Masoni w Polsce“ cieszyło się swego czasu ogromną wziętością.

Śp. zmarły do ostatnich chwil odznaczał się nadzwyczajną pogodą umysłu i prawdziwie staropolską fantazyą, co przy jego nieskazitelnym charakterze, głębokiej nauce i ogromnym zapale zjednało mu cześć i szacunek nawet między przeciwnikami.

Literacka działalność śp. zmarłego stoi na drugim planie, a główną jego zasługą praca kaznodziejska i przy konfesyonale. Wszystkie swe siły poświęcił ks. Załęski inteligencyi, która dotąd na tem polu była bez opieki. A wiedzieć trzeba, że praca to nie była łatwa i kto inny mógł się był łatwo zrazić obojętnością religijną, jaka w tych kołach właśnie panowała. Podołał jednak zmarły zadaniu, jakie wziął na siebie — skutek był taki, że na konferencye rekolekcyjne schodzili się tłumnie nie tylko ci, którzy byli znani ze swej pobożności, ale i tacy, którzy dotąd stronili od kościoła. Przyszli, bo słyszeli o krasomówstwie Załęskiego, wielu jednak odeszło zbudowanych i nawróconych. I tu główna jego zasługa!

Cześć Jego pamięci!





Urodziny cesarskie w Przemyślu: Zebrana publiczność przygląda się defiladzie załogi.



(Po Zeppelinie kapitan z Köpenicku, czyli nowy bohater berliński. — Dziewice pruskie. — Gasnące iskry humoru. — Jazda koleją do Krzeszowic. — Z wilegiatury. — Krakowianka skubiąca pierze. — Mięszanina specyałem).

W miejscowości Köpenick, tworzącej z Berlinem całość topograficzną, jednakże posiadającej samoistną radę miejską, podobnie jak Podgórze wobec Krakowa, wydarzył się przed 20 miesiącami wypadek, możliwy tylko w Prusiech, co podniosła naówczas cała prasa europejska, nie wyłączając niezawisłych dzienników niemieckich. Owego czasu do ratusza sławetnego miasta Köpenick przybył na czele małego oddziału piechoty kapitan, obsadził posterunkami wojskowymi biura, uwięził burmistrza i kasyera, skonfiskował pewną kwotę pieniężną, poczem ulotnił się, pozostawiwszy załogę w ratuszu.

Burmistrz miasta Köpenick, doktor praw, z respektu przed mundurem zapomniał o wszelkich ustawach i przepisach, pozwalając panu kapitanowi gospodarzyć samowolnie w całym ratuszu. Nikomu nie wpadł do głowy pomysł zasięgnięcia w Berlinie informacyi zapomocą telefonu. Mundur w Prusiech jest świętością, zwłaszcza zaś mundur wojskowy.

Sprawa rychło się wyjaśniła. Oto niejaki Wilhelm Voigt, z zawodu szewc, a z konieczności czy z amatorstwa włamywacz, przebrał się w kupiony na tandecie mundur kapitana gwardyi, zabrał po drodze wracający do koszar oddział wojska i urządził na magistrat w Köpenicku wyprawę, która rozweseliła świat cały.

Voigt, opuściwszy po długich latach więzienie, miał szczerą chęć do pracy i zachowywał się wzorowo, ale mimo to policya wydalała go zewsząd bez powodu, mówiąc, ażeby osiadł w miejscu swej przynależności. Ale w rodzinnem gnieździe Voigt nie mógł znaleść utrzymania, wpadł tedy na pomysł zdobycia większej kwoty pieniężnej zapomocą najazdu na ratusz w Köpenicku. Wszystko powiodło mu się znakomicie, z wyjątkiem najważniejszej rzeczy, to jest ucieczki. Policya pochwyciła go, a sąd wsadził do kryminału, zdaje mi się na 4 lata.

Po 20 miesiącach Voigt ułaskawiony, opuścił więzienie, a pruskie serca i kieszenie otwarły się przed nim na oścież. Prusacy obojga płci uczuli w sobie popęd altruistyczny, jak czasami uczuwa słoń popęd do brykania. I rozpoczęło się w Prusiech, a szczególniej w Berlinie brykanie humanitarne. Jakaś dama, nie wiem stara czy młoda, zapewniła Voigtowi, noszącemu przydomek „kapitana z Köpenicku“, dożywotnią rentę w kwocie 100 marek miesięcznie, zacny jakiś „Bürger“ ofiarował mu bezpłatnie willę na lato, sypią się codziennie na jego rzecz składki, a jeszcze obficiej zgłaszają się panny i wdowy nawet bogate, pragnące koniecznie ofiarować mu swoją rękę z wszelakiemi przynależytościami.

Voigt, co prawda, z wielu powodów zasługuje na sympatyę, ale społeczeństwo, szanujące przedewszystkiem swoją godność i posiadające wrodzone poczucie przyzwoitości, nie będzie w taki sposób objawiać swej humanitarności. Jakżeż to po berlińsku niesmaczne, pospolite, nieledwie wstrętne. Po składkach na nowy balon hr. Zeppelina, składki na kamienicę dla Voigta. Ci sami reporterzy, którzy spieszyli do Echterdingen, ażeby łzy ronić nad spalonym balonem hr. Zeppelina, teraz wodzą Voigta po kawiarniach, albo czekają cierpliwie pod drzwiami jego pomieszkania, ażeby urządzić „interwiew“ z bohaterem dnia. A posażne dziewczęta, posiadające *nachweislich* po kilkadziesiąt tysięcy marek majątku i rzucające się Voigtowi na szyję, to wspaniałe okazy owej mieszaniny kobiecej, która czyta *Gartenlaube*, podczas antraktów w teatrze robi pończochę, w sobotę studyuje pilnie spis nabożeństw kościelnych, a w nocy pod ciepłą pierzyną zabawia się marzeniami o dreszczach miłosnych. Matki tych dziewic wysyłały swoim narzeczonym, walczącym we Francyi, kiszki grochowe, córki odznaczają się nieskończenie większą szczodrobliwością wobec... Voigta. Niechże was kaczki zdepczą, dziewoje germańskie.

Łaskawi czytelnicy! Pragnąłbym was nakarmić humorem do syta w tych mokrych czasach, pragnąłbym wykrzesać z krakowskiego bruku iskry wesołości, jak dzielny parobczak z podkówek — ale niestety iskry gasną pod strugami ulewy. Pewien skąpy gość daje czasami w kawiarni kelnerowi 2 halerze i zawsze przy tej sposobności powtarza z ogromnem namaszczeniem: „Ażebyś nie zapomniał o mnie“. Święty, który w niebie rządzi pogodą i niepogodą, czyni podobnie. Od czasu do czasu, tak sobie raz na dwa tygodnie, obdarzy nas dniem słonecznym i powiada z równem namaszczeniem: „Ażebyście nie zapomnieli o mnie“. Ależ mój święty niewiadomego nazwiska — jakże mamy o tobie pamiętać, jeżeli ty o nas zupełnie zapominasz? Dzień pogody na kilkanaście dni deszczu, to chyba za mały tytuł do pamięci i wdzięczności.

Pożałowania godni letnicy zrezygnowali zupełnie z wszelkiej nadziei i z przykładną cierpliwością czekają na koniec swoich utrapień. Korzystając z pogodnej soboty wyjechałem ku wieczorowi na wieś pod Krzeszowicami, ażeby odwiedzić mojego przyjaciela, który z żoną i dwojgiem dzieci przepędza tam wakacye. O podróży z Krakowa do Krzeszowic w sieni wagonu kolejowego mógłbym bardzo wiele napisać ku chwale dyrekcyi kolei północnej.

Pociąg, złożony w Krakowie, spóźnił się o pół godziny z miejsca, albo „z kantu“, jak powiedział jeden z podróżnych, zanim zaś ruszyliśmy w drogę, jakiś posługacz zamiatał wagony i obcierał ławki kawałkiem szmaty ze starego worka. Protestowaliśmy energicznie przeciwko takiemu porządkowaniu wozów i w takiej porze, ale posługacz spojrzał na nas z politowaniem i odpowiedział: „Przecież wagon to nie chlew, ani żadna buda jakaś“.

— Mój człowieku... — zaczął któryś z podróżnych, ale niedokończył.

— Ja nie jestem nijaki człowiek, tylko „siber“ — opryskliwie przerwał mu zamiatający jegomość, przyczem rączką od małej szczotki uderzył w okrągły brzuszek zasapanego wycieczkowicza, zaś podkutym obcasem zmiażdżył nagniotek panu siedzącemu naprzeciw.

Oczywiście właściciel okrągłego brzuszka wyprosił sobie tego rodzaju poufałość, zwłaszcza że na białej kamizelce został widoczny ślad od rączki, zaś pan ze zmiażdżonym nagniotkiem syknął tylko przeraźliwie i chwycił się za stopę, przyczem głową uderzył w bujny biust swojego żeńskiego naprzeciw. Uderzenie musiało być dosyć silne, a gorset żeńskiego naprzeciw dosyć ciasny, gdyż pani chwyciła się za piersi i zaczęła chwytać oddech z taką skwapliwością, jakgdyby się dusiła. To wywołało znowu dalszy ruch. Pewna bardzo chuda i bardzo wrażliwa kobiecina zawołała: „Posyłajcie po towarzystwo ratunkowe!“ — inna zaś pani, widocznie złośliwa, doradzała głośno, ażeby duszącej się właścicielce bujnego biustu rozciąć stanik.

Usłyszawszy tę radę, dusząca się pani odrazu odzyskała normalny oddech i rzuciwszy na doradczynię spojrzenie bazyliszka, odparła z przekąsem: „Łatwo rozciąć jedwabny stanik, jeżeli jest cudzy“. Tymczasem „siber“, który nie jest „nijakim człowiekiem“, ulotnił się z naszego wagonu, ażeby w następnym wywołać podobne zajścia.

Czekamy na odjazd pociągu, obliczając czas spóźnienia się. Ten i ów zapytuje konduktora przez okno, kiedy odjedziemy, ale konduktor odpowiada każdemu: „Za chwilę“. Dwaj podróżni, znający widocznie bardzo dobrze zwyczaje, panujące na kolei północnej, nie zważają wcale na zapewnienie konduktora, tylko wyjęli karty i na kolanach zaczęli w najlepsze grać w „labeta“. Gdy wszyscy niecierpliwili się coraz więcej, oni wołali: „Rabuję“, albo „Kupuję dwie“, albo „Leżysz“. Wreszcie koło pociągu wszczął się ruch, zapowiadający rychły odjazd. Do naszego przedziału wpadli w ostatniej chwili nowi podróżni z bajecznie wielkimi pakunkami. Na wołania nasze, że już niema miejsca, nowi przybysze odpowiedzieli lakonicznie: „Na dachu nie pojedziemy“. Rozpoczęła się polemika, której nie słyszałem już, gdyż wyszedłem do sieni wagonu i w niej odbyłem podróż do Krzeszowic.

Jazda trzęsącą jednokonką z dworca krzeszowickiego na wieś była dla mnie pożądanym wypoczynkiem po sławetnej podróży koleją. Chcąc przyjacielowi zrobić niespodziankę, wysiadłem z wózka opodal chaty, w której mieszkał i piechotą podszedłem pod jego okna, ażeby się nie zdradzić turkotem kół. Okno, a raczej okienko było zasłonięte firanką, ale tak przeźroczystą i kusą, że mogłem wszystko widzieć w izbie. Ujrzałem najpierw przyjaciela mojego, leżącego na łóżku. Obnażoną lewą rękę nacierał mu synek spirytusem kamforowym, którego woń dolatywała mnie przez okno. Dziewczynka siedmioletnia siedziała przy stoliku i czytała nie tyle płynnie, jak bardzo piskliwie wstępny artykuł jakiegoś dziennika na temat powodzi. Obok niej siedziała matka, a żona mojego przyjaciela, nieoceniona pani Ignacowa i... skubała pierze.

A jakże — pani Ignacowa, która na reducie prasy miała tak piękny strój, która na linii A – B odznacza się szykiem, która w loży teatru ściąga na siebie otwory lornetek i strzeliste spojrzenia bezlornetkowe — ta pani Ignacowa darła pierze. „Gwałtu, co się dzieje!“ — pomyślałem na ten widok, a po chwili zapytałem samego siebie: „A może ona zbzikowała na świeżem powietrzu?“ W tej chwili, jakby za karę, kundys gospodarza chwycił zdradliwie kłami za połę mojej peleryny, zwanej popularnie po krakowsku „okryjbiedą“, a zaś krzyknąłem tak gwałtownie: „Kusz!“ — iż przyjaciel usłyszał mnie i zerwawszy się z łóżka, wybiegł na podwórze.

Za chwilę witaliśmy się w izbie i zasiedliśmy wszyscy przy stole. Spojrzałem na rodzinę letników i uczułem nad nimi litość. Pani Ignacowa z podkrążonemi oczami wyglądała jak męczennica, pan Ignacy, woniejący kamforą i niegolony od kilkunastu dni, wyglądał jak kandydat do pensyonatu brata Alberta, dzieci zaś dostroiły się w zupełności do rodziców.

— Myślałem, że was w domu nie zastanę — rzekłem, ażeby coś powiedzieć. Pogodny dzień, sądziłem więc, że urządzicie sobie wycieczkę w pole czy do lasu.

— Tak sądzisz? — odezwał się zgryźliwie pan Ignacy. Gdyby można sprowadzić z Krakowa piec koksowy i wysuszyć choćby sążeń kwadratowy ziemi, to możnaby na niej usiąść podczas wycieczki, ale na słońce niema już co liczyć.

Pani Ignacowa zaczęła krzątać się koło herbaty, a na ten widok przypomniałem sobie, że przywiozłem z Krakowa dwie butelki wina, kilogram mieszaniny i funt cukierków. Położyłem te drobiazgi na stole, a pan Ignacy ujrzawszy je zawołał z radością: „Mieszanina, wino, cukierki! Zbawco nasz! Na wagę złota idą tutaj podobne rzeczy. Można posłać parobka do Krzeszowic, ale trzeba mu zapłacić za to 4 korony i to naprzód, bo nie ufa letnikom“.

Pani Ignacowa spojrzała tylko na mnie wzrokiem zranionej sarny i rzekła: „Oto na cośmy zeszli“.

Tymczasem p. Ignacy zajadał mieszaninę, jak wygłodzony student, odzywając się co chwila do żony i dzieci:

— Jedzcie, bo nie prędko ujrzycie na stole takie specyały“.

Po kolacyi wypiliśmy butelkę wina, swoją drogą nie byle jakiego, humory więc poprawiły się. Pani Ignacowa z werwą opowiadała, że własnemi rączkami naskubała już dwa funty gęsiego pierza, a pan Ignacy wywoływał salwy śmiechu opisując, jak to przez kilka wieczorów usiłował swojego gospodarza, właściciela 10 morgów pola, wtajemniczyć w piękności preferansa. Gospodarz był wcale pojętnym uczniem, ale pani Ignacowa zaprotestowała przeciwko dalszym lekcyom najpierw w imię moralności publicznej, a następnie z tego powodu, że gospodarz „chłopcu pikowemu“ nadawał stale domorosłą nazwę, którą następnie dzieci państwa Ignacostwa z lubością powtarzały. Około północy udałem się do izby gospodarza domu na nocleg, a zasypiając pod „okryjbiedą“, noszącą ślady kłów kundysa, pomyślałem sobie, że niema nic złego, coby na dobre nie wyszło, czyli że w tym roku wygrali ci, którzy pozostali na bruku krakowskim. Przynajmniej mieszanina nie jest dla mnie specyałem wyjątkowym, a żona moja nie skubie pierza.

h. j—e.

Zaręczyny w Żywcu.

Pisma codzienne doniosły przed paru dniami o zaręczynach arcyksiężniczki Renaty Maryi, córki arcyksięcia Karola Stefana z Żywca i arcyksiężnej Maryi Teresy z Hieronimem ks. Radziwiłłem, synem ks. Dominika z Balic i księżnej Maryi Dolores d'Agromonte.



Zaręczyny w Żywcu: Hieronim ks. Radziwiłł z Balic.

Prastary ród Radziwiłłów nie po raz pierwszy już ma się połączyć węzłem małżeńskim z rodziną panującą. Bo prócz nieszczęśliwej Barbary, poślubionej ostatniemu z Jagiellonów, członkowie ich rodu po siedmkroć w ciągu wieków wchodzili w związki małżeńskie z członkami rodów monarszych w Europie.

Arcyksiężniczka Renata urodzona 1888 r. w Poli, większą część życia swego spędziła w naszym kraju, w zamku żywieckim, odnowionym przez arcyksięcia Karola Stefana z wielką starannością i pietyzmem ze względu na pamiątki po królu polskim Władysławie IV. Podobnie jak rodzice, arcyksiężniczka Renata włada doskonale językiem polskim. W rodzicach też swych, którzy przy każdej sposobności okazują miłosierdzie i życzliwość ludności miejscowej, miała najpiękniejszy wzór cnót obywatelskich.

Książe Hieronim Radziwiłł, urodzony w roku 1885, jest potomkiem starożytnego magnackiego rodu książąt *(duces)* na Nieświeżu, Ołyce i Klecku, najpotężniejszego i najbogatszego na Litwie. Z ich rodu wyszło najwięcej senatorów Rzeczypospolitej, a zwłaszcza godności wojewody i kasztelana wileńskiego były w tym domu jakby dziedziczne. Narzeczony arcyksiężniczki Renaty pochodzi z linii litewskiej.

Rodzice jego, ks. Dominikowie Radziłłowie, opuściwszy ojczystą Litwę, osiedli przed dwudziestu kilku laty w Balicach pod Krakowem, a urządziwszy nową rezydencyę z wykwintnym komfortem, stworzyli tam ognisko staropolskiej gościnności i kultury europejskiej. Swą uprzejmością i uczynnością oraz miłosierdziem, zaskarbili sobie wdzięczność i miłość ludności miejscowej oraz ogólną sympatyę i poważanie.

Udzielone nam uprzejmie przez ks. Radziwiłła z Balic portrety obojga narzeczonych zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Nowy wiceprezydent apellacyi lwowskiej.

Z powodu ustąpienia dotychczasowego wiceprezydenta wyższego sądu krajowego we Lwowie, dr. Jana Dylewskiego, na stanowisko to powołany został wiceprezydent sądu krajowego i kierownik sądu karnego, Stanisław Przyłuski.

W nowym wiceprezydencie zyskuje apellacya lwowska sędziego w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, męża nieposzolitej miary, obdarzonego wielkiemi zdolnościami, charakterem czystym jak łza i energią zgoła nieprzeciętną. W ciągu dziesięcioletniej prawie działalności na stanowisku kierownika sądu krajowego karnego we Lwowie, miał aż nadto sposobności do okazania tych zalet umysłu i charakteru, umiał też dzięki temu zaskarbić sobie miłość i przywiązanie grona podwładnych, a uznanie bezwzględne szerokich kół obywatelskich. Prowadząc niejednokrotnie najtrudniejsze, najcięższe rozprawy karne, zdumiewał prezydent Przyłuski zarówno swą głęboką wiedzą prawniczą i erudycyą, jak nadzwyczajnym taktem i wzorową bezstronnością.



Zaręczyny w Żywcu: Arcyksiężniczka Renata Marya z Żywca.

Nic dziwnego też, że powołanie tak zasłużonego męża na godność wiceprezydenta wyższego sądu powitane zostało z dużem zadowoleniem, że jednak z drugiej strony dotychczasowi podwładni z żalem szczerym żegnali ustępującego szefa.

Pożegnanie to odbyło się w ubiegłą niedzielę w dużej sali rozpraw sądu karnego, gdzie zebrali się wszyscy urzędnicy sędziowscy i manipulacyjni sądu karnego, grono adwokatów z prezydentem



Nowy wiceprezydent apellacyi lwowskiej: Uroczystość pożegnania prez. Przyłuskiego (X) podczas przemówienia radcy Szechowicza (XX).

izby adwokackiej dr. Maxem na czele, znawcy sądowi a wreszcie woźni i służba. Imieniem urzędników sędziowskich przemówił w języku polskim i ruskim radca Szechowicz, podnosząc niezwykłe przymioty ustępującego szefa oraz wyrażając żal z powodu rozstania się z nim. Przemawiali następnie adwokat dr. Max i lekarz-znawca dr. Obtułowicz, poczem wzruszony tylu objawami serdecznej sympatyi prezydent Przyłuski podziękował serdecznie za owacyę i zapewnił obecnych o swej życzliwości.



Cygani kaukascy w Krakowie: Trupa cyganów z Kaukazu, która występowała w krakowskim teatrze ludowym.

Z lwowskiego bruku.

(Nie było kanikuły. — Cyganiewicz a kobiety. — Niedoszła sensacya. — Fantazya artystki. — Gdzie jest tragedya? — Konfekcya literacka. — Kandydaci w strachu. — Upadek miłości czyli podłe czasy).

Mając po półrocznej pauzie na nowo rozpocząć szereg sprawozdań tygodniowych z lwowskiego bruku, żałuję bardzo, że ten nowy początek przypada na czas kanikularny, przedsezonowy a poatletyczny, więc dla kronikarza tak marny, jak dla pisma brukowego samobójstwo bez miłości.

Co prawda nie było w tym roku kanikuły w mieście, bo przeniosła się na wieś i w góry, wypędzając stamtąd letników do miasta. Przeciwnie, mieliśmy w mieście sto pociech z atletami, których zapasy ściągały co wieczór tłumy żądnej rozrywki i sztukańców publiczności do obskurnej i rozlatującej się budy cyrkowej. Na ustach i oczach wszystkich był sam majster światowy Zbyszko Cyganiewicz, którego zwłaszcza kobiety i panienki — pomimo jego olbrzymiej tuszy — poprostu połykały — na szczęście tylko oczkami. Za całusa od Cyganiewicza niejedna byłaby oddała połowę swoich widokówek i całą rączkę. Ale Zbyszko-Cyganiewicz jest zbyt wygodny, aby swoje kolosalne bary podsunąć pod pantofel i pojechał ze Lwowa z nieobciążonem sumieniem, ale z obciążoną kiesą.

Jedyną niedoszłą sensacyą zeszłego tygodnia była tragiczna afera artystki naszego teatru pani Romanowej, której śniło się, że z p. Posełtem spadła z szczytu górskiego w Zakopanem w przepaść i sen swój podobno sama opisała w listach do kilku dzienników. Pani Romanowa miała wielkie szczęście, że ten nieszczęśliwy upadek zdarzył jej się tylko we śnie, bo naprzód w łóżku miękkiem nie można się tak pokaleczyć, jak w skalistej przepaści górskiej, a następnie miała sama wyborną sposobność opisania tragicznego zajścia jako naoczny świadek, a więc tak bardzo wiarygodnie. Przytem należy dodać, że pani Romanowa jest literatką i pisuje bardzo zgrabne nowelki, więc opis jej tragedyi nie był suchą, bezduszną notatką reporterską, ale owiany był literacką fantazyą, przy wstrząsającym realiźmie szczegółów i misternej budowie stylu. Fakt, że sama pani Romanowa doniosła dziennikom o swojem nieszczęściu, nie jest jeszcze podobno dokładnie sprawdzony. Są tylko poszlaki, które pozwalają podejrzywać utalentowaną autorkę o wywołanie mistyfikacyi i na tej podstawie niektórzy dziennikarze czynią jej delikatne wyrzuty. Ja jednak nie widzę w tem nic złego. Owszem podoba mi się ten kawał pani Romanowej i gdybym znał jej adres, sam zadepeszowałbym jej gratulacye z powodu — ocalenia.

Było to bowiem ocalenie nie od śmierci wprawdzie, ale od zapomnienia, bo p. Romanowa pomimo niezaprzeczonego talentu do sceny i do pióra nie należała do głośnych, tylko dzięki niesympatycznym a dziwnym stosunkom, panującym na naszych scenach i w naszej literaturze. Tylko hałaśliwi aktorzy i autorowie mogą liczyć na rozgłos i uznanie; jeżeli zaś kto cicho pracuje i nie spada z żadnych skał, jest na równej drodze do zapomnienia. Dlatego imponuje mi literacki kawał p. Romanowej, która powiedziała sobie: jeśli chcesz pójść w górę, musisz naprzód spaść w przepaść, bodaj — w fantazyi. Ale kobieta, nawet literatka, jest roztargnioną. I oto zapomniała biedaczka w swojem literackiem roztargnieniu, że w jednej z redakcyj, do których wysłała listy o swoim wypadku w górach, leżało kilka nowel jej, jeszcze nie drukowanych. Przez porównanie pism wykryła się cała tajemnica literacka unieszczęśliwionej artystki, a tego ona, jako kobieta, nie przewidziała, choć mogła.

W tem zapomnieniu i wykryciu prawdy leżała większa dla niej tragedya, aniżeli w samym upadku z skalistego szczytu w okropną przepaść miękkiego łóżka. I ta jej nieostrożność jest w tej niedoszłej sensacyi prawdziwą i jedyną sensacyą — co prawda — tylko literacką.

Literackich sensacyi nie zabraknie podobno w tym roku, sądząc po wielkim urodzaju wszelakiego grafomaństwa i kupiectwa w literaturze i dziennikarstwie lwowskiem. Będziemy mieli zaszczyt i wątpliwą przyjemność przedstawić czytelnikom *Nowości Illustrowanych*, a zatem całej Galicyi i Królestwu kilka typów bardzo ciekawych kupczyków literacko - artystyczno - humorystyczno-tłómaczeniowo-deklamacyjno dziennikarskich, uprawiających drobiazgową sprzedaż cudzego natchnienia i hurtowną konfekcyę powieściową, ażeby się wszystkiemi szparami wściskać do zamykającej się przed nimi na siedm spustów literatury.

Jeżeli już jest mowa o kompromitacyi to muszę wspomnieć o wybornej sposobności, która się właśnie w tym celu nadarza. Oto za kilka dni mamy wybrać posła z I. okręgu i dotąd prócz socyalisty Hankiewicza nie zgłasza się żaden kandydat. Niejeden miałby gust przejechać się do Wiednia w charakterze reprezentanta zadłużonej ludności, ale nikt niema odwagi stanąć — pod pręgierzem opinii publicznej. Ubieganie się o mandat poselski ma we Lwowie to samo znaczenie, co popełnienie każdego innego skandalu. Za jedno i za drugie piętnuje się sprawcę jako najostatniejszego wyrzutka społeczeństwa przypominając mu wszystkie grzechy jego i jego ojców aż do czwartego pokolenia wstecz. Wmawia się w niego tak długo, że jest łajdakiem, aż sam uwierzy, a gdyby nie uwierzył, dodaje mu się czasem illustracyę i osobny dodatek z szczegółową biografią z tysiąca i jednej nocy. Wtedy musi się wycofać z szeregu kandydatów, bo wie już przynajmniej, że na posła się nie nadaje.

Nic dziwnego, że na taki sukces publiczny nikt narazić się nie chce i czeka ze zgłoszeniem swojej kandydatury na ostatni tydzień. Dlatego niektóre dzienniki lwowskie są poprostu w rozpaczy i starają się czem prędzej nakłonić kandydatów do kompromitacyi. Ale za kilka dni staną już przed wyborcami a dzienniki wylewać im będą na głowy cebrzyki pełne — zaufania.

Na koniec drobny, ale znamienny fakt. Parobek Ołeśków zastrzelił z miłości, czy z zazdrości sługę Panasiewiczównę, która miała wyjść zamąż za innego. Miłość — rewolwer — parobek — służąca. Miłość i rewolwer zdemokratyzowały się. Słyszeliśmy zawsze, że odpalony parobek wybił kochankę po gębie, a gdy i to nie pomogło, ożenił się z inną, tamtej na złość. Strzelał z miłości tylko inteligent, arystokrata rodowy lub duchowy. Dziś parobek strzela do ubogiej dziewczyny, narażając siebie na szubienicę za morderstwo. A inteligent? Inteligent nie strzela. Zakochany po uszy w posagu swojej przyszłej, bez wątpienia boleje nad jej utratą, gdy odwróci się od niego, ale pociesza się szybko przy pierwszym lepszym bufecie, za którym siedzi żywy wabik w jedwabnej bluzce, rozglądając się zarazem, czy nie przechodzi ulicą jakiś inny posag, większy niż poprzedni. Jeżeli zaś posagu nie było — ale o takim wypadku niema mowy, bo przecież nie było powodu do zbliżenia, a tem mniej do stosunku i strzelania.

Miłość i rewolwer zeszły na psy w sfery parobków i sług.

(* * *).

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a

8 Ciąg dalszy.

— To drobnostka. Już wiemy, był to niejaki Forget, średniej miary kapitalista, który mieszkał tam od lat trzech.

— Doskonale. Teraz słuchajcie.

I podyktował im rozmowę swą z komisarzem, przytaczając najdrobniejsze szczegóły, podając wszelkie przypuszczenia, hypotezy. Nie wspomniał im jednak ani słowem o wizycie swej w pokoju zbrodni, odciskach stóp i fałszywych wnioskach komisarza. Te fakty zachował dla siebie; zresztą mogły one interesować tylko tego, kto znał dokładnie całą sprawę.

Rozglądając się po sali podczas dyktowania, spostrzegł nagle z pewnym niepokojem, iż znajduje się w kawiarni, z której w nocy telefonował, a nawet dziwnym zbiegiem okoliczności siadł na tem samem miejscu, które wczoraj zajmował. Przez chwilę obawiał się, czy go przypadkiem nie poznali kelnerzy, nikt jednak nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, służba zajęta była innymi gośćmi i nie zwracała uwagi na dziennikarzy.

Po ukończeniu swego opowiadania i udzieleniu wszelkich objaśnień, jakich od niego żądali, pożegnał się z kolegami i wyszedł z kawiarni, doznając znacznej ulgi, gdy znalazł się sam. Towarzystwo ludzi stawało się dla niego ciężarem, ciągle bowiem musiał zważać na każde słowo, by się z czem nie zdradzić.

Śniadanie zjadł w podrzędnej restauracyi, odwiedzanej przeważnie przez dorożkarzy, przejrzał szybko kilka dzienników, poczem wyszedł i mijając bulwar Lanes, udał się przez fortyfikacye, pragnąc zdala od hałasu miejskiego odzyskać swobodę siebie. Irytował się na samo przypuszczenie, iż prawdziwi zbrodniarze są zapewne spokojniejsi od niego i nie wiele myślą o policyi, podczas gdy on tylko nią jest teraz zaprzątnięty. Nie mógł zdać sobie nawet sprawy, za kogo ma siebie uważać, przejęty bowiem postanowieniem zwrócenia na siebie wszelkich podejrzeń, omal iż nie czuł się winnym!

Ogólne zdenerwowanie, wynikające z niejasnego położenia, w jakie dobrowolnie popadł, rozstrajało go coraz bardziej. Miał nawet chwile w tym nieszczęsnym pokoju, iż decydował się opowiedzieć wszystko o swem spotkaniu i tajemniczej wizycie. Ostatecznie jednak myśl o zamiarze swym i o sławie, jaka stąd na niego spłynie, przemogła wszystkie skrupuły. Teraz zaś miał bezustannie wrażenie, iż przygniata go coś niezwykle ciężkiego. Czy to nie pewnego rodzaju wspólnictwo ze złoczyńcami? Wszak za ten podstęp będzie musiał odpowiadać przed sądem? — tak, lecz za to jakiż olbrzymi sukces dziennikarski osiągnie w ten sposób, co za wspaniałe rzeczy wyjdą z pod jego pióra!

Jeden tylko występek mógłby wstrząsnąć spokojem jego sumienia — wykroczenie przeciw miłości bliźniego, wszelkie inne występki przeciw instytucyom, prawom, które zresztą są niczem innem jak tylko kodyfikacyą przesądów, nie wzruszały go zupełnie. Po skazaniu na karę pieniężną lub areszt kilkudniowy za drwiny ze sądu, nie będzie uważał się za coś gorszego, niż obecnie, czasu zaś do opowiedzenia tego wszystkiego, co widział, co sam przeszedł, pozostanie mu dosyć.. A kto wie, czy właśnie nie w ten sposób zwróci on uwagę odpowiednich sfer i całego społeczeństwa na wadliwość urządzeń policyjnych i sądowych.

Tak dzień cały spędził na rozmyślaniu, nie czując głodu, ani zmęczenia. Wieczór już zapadał, gdy wreszcie postanowił wrócić do siebie. Przed domem znalazł się o zupełnym zmierzchu i już wchodził na schody, by odpocząć w mieszkaniu, gdy nagle zatrzymała go stróżka, mówiąc, iż już kilka razy przychodzili po niego z redakcyi. Nie zatrzymując się zawrócił odrazu i podążył do redakcyi.

Oczekiwano go tam z niecierpliwością. Zaledwie pokazał się, obsypał go sekretarz wymówkami:

— Zachowanie pańskie stało się dziwnem. Nigdzie pana nie widać, swego współpracownika musimy szukać po całym Paryżu. Wczoraj, gdy telefonowano, pana nie było, dzisiaj, gdy gorączkowo oczekujemy pańskiego skryptu, nie pokazuje się pan od ósmej rano. Przez pana pismo straci tylko całą korzyść z otrzymanej wiadomości. Obecnie wszystkie już dzienniki mają lepsze informacye, niż my. Patrz pan — i podsunął mu pod oczy jeden z dzienników.

— Oto interwiew z komisarzem policyi. Niechże więc pan nie usiłuje tłomaczyć się, że było to niemożebnem, najpóźniej o godzinie jedenastej zostało to napisanem, a pan o tej porze nic jeszcze nie wiedział!... I cóż pan na to?...

Coche nie przerywając ani słowem przeczekał, aż ta burza minie, poczem dopiero zdecydował się przemówić:

— Czy mogę odezwać się?... Powiedział pan, że artykuł ten napisany był o jedenastej godzinie?...

— Bezwarunkowo, najpóźniej o pół do dwunastej...

— A ja twierdzę, że został on napisany najwcześniej o pół do pierwszej, nawet trzy na pierwszą...

— Godzina różnicy niema tutaj żadnego znaczenia.

— Przepraszam, posiada bardzo wielkie...

— Skąd pan wie tak dokładnie, o której godzinie pański kolega napisał to?

— Gdyż ja to dyktowałem nietylko jemu, ale i kilku innym jeszcze.

— Cóż to znaczy w takim razie? A więc to pan miał interwiew z komisarzem i dlatego, by okazać się uprzejmym względem swych kolegów, odstąpił go pan innym? Wszyscy więc będą w posiadaniu tego, co tylko nam się należało! No, przyzna pan, że tego już za wiele!...

— Niestety żałuję bardzo, lecz wszyscy nie będą mieli, było ich bowiem tylko czterech z mniejszych dzienników.

— Panie Coche, nie mamy potrzeby przewlekać tej rozmowy. Wydaje mi się pan nienormalnym. Z drugiej jednak strony nie mogę liczyć na współpracownika tak lekkomyślnego w podobnych sprawach... Nie chcę przesądzać, czy historya z interwiewem jest prawdziwa, czy fałszywa, nie interesuje mnie to, od kilku godzin powziąłem już postanowienie: niech pan z łaski swej uda się do kasy, gdzie wypłacą panu trzechmiesięczną gażę. Do usług pańskich nie możemy już więcej odwoływać się.

— Jestem najzupełniej z tego zadowolony. Chciałem właśnie uprzedzić pana sekretarza, iż zmuszony jestem opuścić redakcyę. Potrzebuję spoczynku. Istotnie bowiem, jak pan określił, jestem nienormalny, czuję się zmęczony, zdenerwowany... pragnę ciszy, samotności... Po niejakim czasie, gdy odzyskam dawne siły, zjawię się w redakcyi... na razie muszę wyjechać... Dokąd? — jeszcze sam nie wiem... powietrze jednak paryskie nie służy mi...

— Cóż to za nagłe postanowienie — odparł sekretarz — wczoraj jeszcze czuł się pan doskonale, a dzisiaj już do tego stopnia jest pan cierpiący, że nie możesz pracować... To co powiedziałem panu przed chwilą, nie jest zupełnie stanowczem... niech pan nie dąsa się na nas... Zapomnijmy o tem wszystkiem, a pan niech siada do biurka i przygotuje swój skrypt... Znam pana dostatecznie, by być pewnym, że chowasz coś pan dla nas w zanadrzu, że więcej zdobyłeś pan wiadomości, niż pańscy koledzy... A więc siadajmy i piszmy kolego...

Coche jednak pokręcił przecząco głową:

— Nie, nie. Jadę... muszę jechać... co robić, kiedy muszę.

— A może chce nas pan porzucić, by wstąpić do innego dziennika i to właśnie wówczas, gdy najwięcej mamy roboty na głowie? Jeżeli żąda pan podwyżki, dlaczego nie wspomniał pan o tem ani słowem.

— Panie Avyot, nie chcę podwyżki, ani też nie wstępuję do żadnej redakcyi. Chcę tylko odzyskać przynajmniej na razie swobodę...

I drżącym głosem dodał:

— Daję panu słowo honoru, że nie będę starał się przynosić najmniejszego uszczerbku dziennikowi i że w swem postanowieniu nie mam żadnych ubocznych celów, o jakie mnie pan podejrzywa. Pozostańmy dobrymi przyjaciółmi... o jedno tylko proszę: ponieważ chcę zupełnej samotności, pragnę żyć zdala od gwaru paryskiego, od tych codziennych spraw, jakie tutaj nastręczają się ciągle, może zechce pan sekretarz zachować wszystkie listy, jakie do mnie będą przychodziły, po powrocie zwróci mi je pan...

— Czy pańskie postanowienie jest nieodwołalne?

— Tak, nie mogę go zmienić.

— Nie dopytuję się, dokąd pan jedzie, lecz może dowiem się, kiedy pan wyrusza w drogę?

— Dzisiaj wieczór.

— A kiedy zamyśla pan powrócić?

— Sam nie wiem — odpowiedział Coche, czyniąc nieokreślony ruch ręką, poczem uścisnąwszy dłoń sekretarza wyszedł wolnym krokiem.

Na ulicy dopiero, zmieszawszy się z tłumem przechodniów, odetchnął spokojniej. Kilka minut wystarczyło mu do ułożenia całego planu postępowania. Od ostatniego wieczoru wypadki następowały z taką szybkością po sobie, iż nie zdążył jeszcze rozważyć gruntownie okoliczności, wśród jakich znalazł się tak nagle. Ponieważ postanowił wprowadzić w błąd policyę co do istotnych sprawców zbrodni i skierować jej poszukiwania w swoją stronę, tak aby wreszcie wywołać aresztowanie siebie, musiał dla dopięcia tego zamiaru być najzupełniej wolnym, rozporządzać sobą i swym czasem dowoli. Jako członek redakcyi nie mógłby ogłaszać pod swem nazwiskiem tego, co wiedział. Przytem mogła zajść i ta okoliczność, iż policya, prowadząc śledztwo w fałszywym kierunku, nie doszłaby do żadnego wyniku, niczby nie odkryła i całą sprawę puściła w zapomnienie, a w takim razie wszystkie starania Coche'a okazałyby się daremnemi.

Przez chwilę wahał się, czy ma powrócić do siebie, zdecydował się jednak nie wstępować już do domu. Miał w kieszeni tysiąc franków, otrzymanych przed chwilą, może więc żyć najspokojniej przez kilka tygodni, zwłaszcza iż bardzo rzadko będzie wychodził do miasta, a wskutek tego i wydatki będą bardzo nieznaczne. Nagłe zaś jego zniknięcie może mu tylko pomódz w przedsięwzięciu, potwierdzi bowiem podejrzenie, jakie powezmą przeciw niemu.

Około godziny dziesiątej wieczorem postanowił wreszcie poszukać dla siebie jakiego schroniska na noc. Wybór mieszkania mógł bardzo łatwo uskutecznić, długo jednak namyślał się, zanim zdecydował się na dzielnicę łacińską, w której mieszkał dawniej po przybyciu z prowincyi do Paryża. Poddał się tutaj urokowi wspomnień, które przywiodły mu na myśl dawne jego złudzenia i pożądania sławy, po którą znowu wyciąga ręce, lecz w tak niezwykły sposób.

Bulwar Saint-Michel, pełny świateł i gwarnego życia, rozweselił go trochę. Wszedł do pierwszej napotkanej kawiarni, zadysponował kolacyę, by zaspokoić głód, który począł dawać się mu we znaki, poczem wziął się do przeglądania dzienników...

Temps, najpoważniejszy z dzienników, poświęcił zbrodni na bulwarze Lannes przeszło dwieście wierszy. Morderstwo to w gruncie rzeczy było zupełnie pospolitem, zdarzającem się w Paryżu prawie co dzień, najzwyklejszem przestępstwem, jakie dzienniki zbywają zazwyczaj drobnemi notatkami. Ta zaś zbrodnia z dziwnych, nieznanych przyczyn nabrała od samego początku wielkiego rozgłosu, tak jakby wszyscy przeczuwali w niej ukrytą tajemnicę.

Z wielką też uwagą czytał artykuły o swoim interwiewie z komisarzem i uśmiechał się, znajdując w nich własne zdania i uwagi, które rano dyktował kolegom. Z zadowoleniem stwierdził, iż sprawa cała rozwija się dla niego jak najpomyślniej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jubileuszowe korespondentki.

(Do illustracyi na stronie 10).

Z okazyi sześćdziesięcioletniego jubileuszu rządów cesarza Franciszka Józefa, wydała w dniu 18 sierpnia drukarnia państwowa seryę jubileuszowych korespondentek, które mają pozostać w obiegu po koniec roku 1903.

Kartki przedstawiają się bardzo pięknie, rysunek bowiem wyszedł z pod ołówka i rylca profesora Mosera i miedziorytnika Schernbocka. Środek odwrotnej strony zajmuje portret cesarza z roku 1908, po obu zaś stronach znajdują się widoki z wiedeńskiego Burgu i Schönbrunnu z Gloryetą. Cztery rogi ozdobione są ornamentami na motywach austryackiego herbu, a u dołu na sześciobocznych winietach widnieją daty 1848 i 1908, u góry na takichże samych znajdują się gałązki wawrzynu i dębu. Na samym dole umieszczony jest napis.

Na przedniej stronie znajduje się odbita marka 30 halerzowa, przedstawiająca portret cesarza z roku 1848, po lewej stronie napis. Cena pojedynczej, bardzo gustownej sztuki 15 halerzy.

W dniu emisyi, t. j. 18 sierpnia rozchwytano wszystkie kartki, tak że zarząd pocztowy nie jest w stanie ich nastarczyć, choć drukuje 150.000 dziennie; głównie wykupują je handlarze marek i filateliści, gdyż za lat parę będą miały daleko większą wartość.

Prócz tych kartek, przeznaczonych dla ogólnego użytku, wydano specyalne kartki jubileuszowe dla Czech, z napisem czeskim i niemieckim: Wystawa jubileuszowa w Pradze r. 1908. Zamiast widoków Burgu i Schöbrunnu widzimy na tych kartkach zamek Karlstein i praskie Hradczany, zresztą czeska kartka od ogólnej różni się tylko w drobnych szczegółach.

Nowy premier Japonii.

(Do illustracyi na str. 9).

Na czele ministeryalnego gabinetu Japonii stanął — po raz drugi już — jeden z najwybitniejszych polityków japońskich, Markiz Katsura, znany zarówno ze swej wojennej jak politycznej działalności w kilku ostatnich dziesiątkach lat.

Urodzony 1847 r. jako potomek rodziny szlacheckiej, odznaczył się w młodym już wieku w wojnie domowej, walcząc po stronie partyi mikada. Wysłany następnie do Berlina na studya w szkole wojennej, powrócił Katsura po trzech latach do ojczyzny i poświęcił jej swą wiedzę i swe zdolności. Ze względu na wybitny talent posuwał się szybko na coraz wyższe szczeble karyery i już w 1886 r. był wiceministrem wojny. Zdolności jego zajaśniały pięknem światłem w czasie wojny chińsko-japońskiej, otrzymał też po jej ukończeniu tytuł wicehrabiego. Niedługo potem został ministrem wojny, urząd ten jednak złożył po dwu latach, otrzymując tytuł marszałka polnego. Zaraz potem mikado powołał go znowu na odpowiedzialne stanowisko, został bowiem prezydentem ministrów i w czasie swej działalności dokonał wielkiego dzieła, mianowicie traktatu z Anglią, za co odznaczony został tytułem hrabiego. Także podczas wojny rosyjsko-japońskiej zajmował ten urząd i dopiero po jej ukończeniu ustąpił.

Obecnie powołany został ponownie na naczelne stanowisko, trudniejsze dziś o tyle, iż stosunki finansowe państwa mikada przedstawiają obraz dość ponury. Nowy szef gabinetu spodziewa się przy pomocy ludu trudności pokonać i przywrócić swej ojczyźnie finansową potęgę.

Cygani kaukascy w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 15).

W przejeździe przez Kraków zatrzymała się tu grupa cyganów z Kaukazu i swymi malowniczymi a bogatymi strojami oraz typowo wschodnimi rysami twarzy obudziła w Krakowie powszechne zaciekawienie.

Przedsiębiorczy i rzutki dyr. krakowskiego teatru ludowego p. Poleński, który w ciągu tegorocznego sezonu postawił ten teatr na bardzo wysokim poziomie i zapewnił mu stałe powodzenie, zaangażował grupę cygańską na kilka występów w scenicznej przeróbce powieści Kraszewskiego „Chata za wsią“. Wiadomość o występie egzotycznych artystów ściągnęła do budynku teatru przy ul. Wielopole tłumy publiczności, żądnej zobaczenia wspaniałych strojów cygańskich, ich pięknych a ognistych tańców i posłyszenia smętnych pieśni. Siedm razy wystąpili cyganie w teatrze ludowym i za każdym razem widownia była szczelnie wypełniona. A nikt nie żałował wydanego na wstęp grosza, bo istotnie warto było widzieć wspaniałe typy wschodnie, dziarskich, doskonale zbudowanych cyganów i cyganki o regularnych, nawet pięknych rysach twarzy. Warto było też przypatrzeć się ich dzikim tańcom i zawrotnym prysiudom, najlepiej świadczącym o temperamencie cygańskim.

A zadziwiającem było u goszczącej w Krakowie grupy, iż różniła się ona od znanych w kraju naszym band cygańskich nietylko wyższą kulturą ale i zamożnością wcale znaczną. Zamożność ta widoczna była już w strojach członków grupy, oraz w mnóstwie kosztownych ozdób ze srebra i złota.



Szarada.

Ułożyła Góyska, Bolechów.

Ma całość dobrze w całym świecie znana,
Przez biednych i bogatych równie pożądana.
Dla panien niebezpieczna, mężom rogi daje.
Gdy ostatniej litery jednak nie dostaje,
Wówczas do całości daje ponitera.
Lecz, gdy jej braknie jeszcze końcowa litera
I zechcecie przeczytać naodwrót, końca,
To wtenczas do całości mieć będziecie gońca
I całości początek.
Teraz zgadnij wątek!

Zadanie konikowe.

Ułożył Dr. M. Kraków.

sta	po	pie	pod	kle
ko	czo	zwy	wie	sam
wia	re	kto	wpa	kim
ne	ki	świad	w nie	sło
i do	da:	przy	dół	da.

Zagadka sylabowa.

Ułożył Maryan z nad Dniepru.

Z następujących głosek ułożyć szereg wyrazów, których początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół dadzą imię i tytuł osoby, obchodzącej w bieżącym roku jubileusz swego urzędowania.

Zgłoski: a, a, a, bert, bir, ce. cy, er, eu, fi, im, jou, kar, kas, lec, li, lo, mo, na, ni, ni, ni, nie, no, nus, ó, pol, r, ra, ry, ry, y, ska, sy, szy, wia, wicz, za, za, zof.

Znaczenie wyrazów: 1. Człowiek uczony. 2. Przyrząd, którym starożytni pisali. 3. Sekta religijna, rozpowszechniona w Polsce w średnich wiekach. 4. Mityczny założyciel państwa assyryjskiego. 5. Imię żeńskie. 6. Korzeń używany do przyprawy potraw. 7. Sielankopisarz polski. 8. Współczesna znana autorka dramatyczna. 9. Miasto w departamencie Dolnej Sekwany, zarazem tytuł książąt orleańskich. 10. Stolica Wenezueli. 11. Bohater Boerów z ostatniej walki o niepodległość. 12. Samogłoska, spółgłoska (luźne). 13. Szukaj przy każdych drzwiach. 14. Tytuł opery.

Kwadrat magiczny.

Ułożył L. W. Kraków.

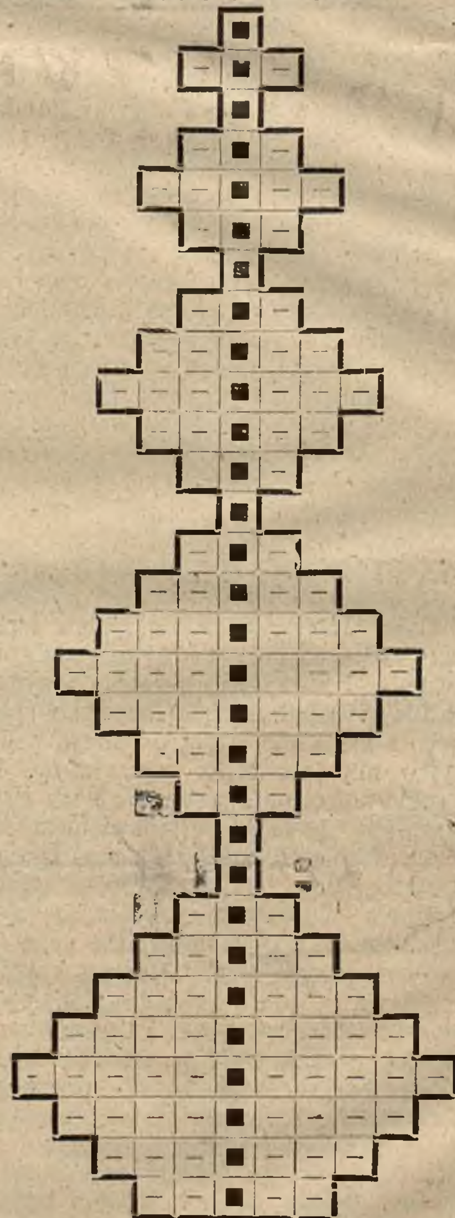
a	a	a	a	a
a	a	a	g	h
i	i	k	k	l
m	m	n	n	n
o	o	s	t	t

Znaczenie wyrazów: 1. Służy do wypoczynku, zwłaszcza w lecie lub na okręcie. 2. Imię żeńskie. 3. Inaczej wolnomularz. 4. Spójnik. 5. Półwysep na morzu Północnem Lodowatem.

Logogryf.

Ułożył H. Markiewicz, Krościenko nad Dunajcem.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół w pionowym kierunku utworzyły przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Drzewo. 3. Spółgłoska. 4. Bohater powieści Kraszewskiego. 5. Rodzaj pojazdu. 6. Zaimek. 7. Spółgłoska. 8. Zwierzę. 9. Rodzaj dawnej broni, używanej przez konnicę. 10. Rzeczpospolita w Ameryce południowej. 11. Miejsce igrzysk. 12. Oznaka zmartwienia. 13. Spółgłoska. 14. Najważniejsza część obrazu. 15. Inaczej doświadczenie. 16. Miasto w Bośni. 17. Założyciel obserwatoryum astronomicznego krakowskiego. 18. Miasto na Bukowinie. 19. Instrument muzyczny. 20. Gatunek papugi. 21. Samogłoska. 22. Spółgłoska. 23. Droga kolejowa. 24. Materyał budowlany. 25. Jedna z bogiń greckich, rządzących życiem ludzkiem. 26. Drzewa szpilkowe. 27. Nazwisko hetmana wielko-koronnego polskiego. 28. Szczyt w Beskidzie. 29. Drobna moneta w Austryi. 30. Instrument muzyczny.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya G. Daniłowskiego: »Dwa głosy«, nowele z illustracyami A. Gorskiego.

Od Redakcyi.

Szanownych Czytelników, nadsyłających mam zagadki, szarady, logogryfy itd. własnej kompozycyi, upraszamy uprzejmie, aby zechcieli dołączać do nich dokładne rozwiązania, t. j. także znaczenia poszczególnych wyrazów.



Rozwiązanie zagadek z Nru 33

Szarada.

Psie pole, Dąbrowa. Jena.

Logogryf

Wyspiański Stanisław.

Logogryf.

Od głowy ryba cuchnie.

Logogryf.

Eliza Orzeszkowa.

Zagadka sylabowa.

Augustyn Kordecki.

Logogryf.

Fałat, Kossak, Styka, Brandt.

Logogryf.

Jaroszyński.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: K. Rożycki Długopole, J. Antosz Kraków, A. Bocsoń Bóbrka, Z. Gruszczyńska Czarna wieś, K. Korski Lwów, S. Lindenbaum Lwów, O. Górkowa Chyrńw, D Langer Czerniowce, J. Diehl Stryj, M. Fuchs Kraków, R. Jaworski Kraków, J. Barnat Rzeszów. J. Darocha Lisko, J. Możdżeński Wiedeń, H. Kijeńska Łódź, M. Radlmesserówna Swoszowice, K. Fuchs Czeremchów, M. Pachucki Waksmund, J. Januszewski Podgórze, J, Wielgus Kalwarya, A. Woyde Warszawa, Z. Wojtkowska Tarnopol, Sołtykowski Stanisławów, J. Dokrzelewska Warszawa, O. Thorn Podgórze, St. Kazimirski Lipnica, J. Szymborski Warszawa, W. Thum Łódź, E. Katarzyńska Kraków' J. Nowicki Włocławek, St. Flaszczyński Rzeszów, K. Zamorski Lwów, E. Lipkiewicz Podwołoczyska, A. Biliński Tarnopol, K. Osadziński Kraków, J. Kozicki Lwów, E. Libiszewski Warszawa, Z. Lubecki i St. Rychłowski Zakopane.

Nagrodę przez losowanie otrzymał St. Flaszczyński Rzeszów. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.



IGNACY SOBOLEWSKI
w Krakowie, przy ul. Grodzkiej L. 3.

poleca: MAGAZYN TOWARÓW BŁAWATNYCH, JEDWABNYCH I GOTOWEJ KONFEKCYI DAMSKIEJ oraz DOBOROWĄ PRACOWNIĘ SUKIEN I OKRYĆ DLA PAŃ

Towar dobry — Ceny umiarkowane



Hurtowna i detaliczna sprzedaż dla Galicyi
GRAMOPHONÓW i PŁYT

oryginalne ameryk. z „Aniołkiem“. — Ceny fabryczne po: 90, 120, 160, 190, 230, 280 Kor. i wyżej.

Odsprzedającym odpowiedni rabat. Wszelką korespondencyę i zamówienia z Galicyi proszę odsyłać wprost na ręce naszego zastępcy **T. Górskiego we Lwowie.** Sprzedaż za gotówkę i na raty.

TADEUSZ GÓRSKI, LWÓW, plac MARYACKI L. 8.

Cenniki wysyła się gratis. Centralna zamiana starych płyt.

Tow. akcyjne Gramophon.

Specyalny Magazyn Nowości

dla Pań i Panów poleca:

Kapelusze P. & C. Habiga i w. I. Rękawiczki, Bieliznę męską, Płaszczę, Kurtki, Krawaty. Bluzki, Paski, Boa, Wyroby ze skóry, Perfumerya i t. p.

TADEUSZ GÓRSKI, Lwów, plac Maryacki 8

Kraków Sławkowska L. 3 Telefon 516



Kraków Hotel Saski Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego i przyborów do podróży.

Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Teatr Rozmaitości

w Parku Krakowskim

Od 16 do 31 sierpnia

ELLA CORSA

fantastyczna scena. Czarodziejka księżyca.

Bruno Pitrot, produkcye na reku ruchomym. **Mart. Kempiński**, Humorysta-poeta. **The 3 Leyghtons**, senzacyjni akrobaci na globusach. **Chas & Mimie Heyn**, znakomici wirtuozi na kornecie, waltorni i fanfarach. **Morris and Lowes**, amerykańscy ekcentrycy. **Les Fallieres**, kwartet wokalny. **Bioskop amerykański**. Co soboty nowa serya żywych fotografii.

Kierownik art.: RUD. FRANZIAK. Kapelmistrz: ST. CZYŻOWSKI.

Początek o godz. 8 wiecz.

Bilety bez nadwyżki są wcześniej do nabycia do g. 6 w cukierni WP. Brzeziny, róg ul. Szewskiej i Rynku

W każdą niedzielę i święto: Koncert orkiestry! pod batutą p. St. Czyżowskiego

Po przedstawieniu codziennie w sali restauracyjnej **KONCERT** orkiestry własnej do godziny 1-szej w nocy. — Wstęp wolny.

RESTAURACYA RENOMOWANA!

TAPETY

POLECA w wielkim wyborze na składzie

W. ADAMSKI LWÓW HOTEL ŻORŻA

Wzory z cenami wysyła się opłatnie.

Polski cennik na rok 1908

z przeszło 8000 illustr. wysyła na żądanie każdemu gratis i franko

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW

Hanns Konrad c. i k. nadw. dostawca **w Brüx (Czechy) Nr. 1406**

Zegarek niklowy Remontoir	Kor. 8·50
System Roskopf Patent	» 4·—
Roskopf Patent	» 5·—
Rejestrowany zegarek niklowy kotwiczny Remontoir »Adler Roskopf«	» 7·—
Pozłacany Remontoir z werkiem »Luna«	» 8·50
Srebrny Remontoir, zaopatrzony pieczęcią c. k. urzędu probierczego	» 8·40
Srebrny Remontoir podwójnie kryty	» 12·50
Srebrny opancerzony z sprężyną 15 gramów ważący	» 2·60
Ruski Tula Remontoir z werkiem »Luna«	» 10·50
Zegarek z kukułką	» 8·50
Budzik	» 2·90
Budzik z cyferblatem świecącym w nocy	» 8·30
Zegar kuchenny	» 3·—
Czarnolaski zegar	» 2·50

Do każdego zegarka 3-letnia sumienna piśmienna gwarancya.

82—86

Niema ryzyka!

Zamiana dozwolona lub pieniądze z powrotem.

Proszę zażądać polski cennik zegarków.

Bazar krajowy

w Krakowie, Rynek gł. 20 (róg ulicy Brackiej)

poleca wyroby krajowe po cenach fabrycznych w wielkim wyborze:

Serdaki futrzane

damskie, męskie i dziecinne

Najpiękniejsze i najgustowniejsze

Tablice i Stampilie

dla P. T. Adwokatów, lekarzy, notaryuszów i t. p. wykonuje najtaniej: **Zakład LEONA APPLA, Lwów,** Pasaż Hausmanna (wejście: od hotelu Imperial).

Odznaczony na wielu wystawach!

Medal srebrny Lwów 1907 r. — Złoty Medal Ołomuniec 1907 r. — Medal srebrny Poznań 1908 r.

„ABA“

Patentowane tutki z ochraniaczami

wszędzie do nabycia.

Fabryka: Lwów, Ochronek 11a.

Wysyłka czeskich instrumentów muzycznych

po najtańszych cenach fabrycznych. Skrzypce wraz ze smyczkiem dla początkujących Kor. 3·40, 4·40 i 6·40. Skrzypce koncertowe z silnym tonem Kor. 9 i 11. — Niema ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy! Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem należytości. Bogato illustr. cenniki z przeszło 2000 rycin darmo i opłatnie.

KAPELLNER i HOLZER, Kraków, ul. Dietlowska 68/5

Baczność!

Byt zapewniony ma każdy u nas i łatwo zarabia **koron 18—25 tygodniowo** bez względu na płeć, wiek lub oddalenie.

Bliższych informacyi udziela: 947

„Byt“ Przedsiębiorstwo fabryczne wyrobów trykotowych we Lwowie, ul. Krasickich L. 14

Atelier **dentystyczno-techniczne** urządzone według ostatniego słowa nauki i techniki Zakład **J. WEINGARTENA** ozdobiony dyplomem honorow. w Stanisławowie ul. 3 Maja zaopatrzony we wszystkie instrumenta najnowsz. konstrukcyi. Wykonuje wszelkie specyalne roboty wchodzące w zakres dentystyczno-techniczny.

GRANICA

Stacya kolei W.-W. Ruble, austryackie korony, franki, marki itp. sprzedaje i kupuje najkorzystniej dla pasażerów **Specyalny Kantor wymiany** wszelkich monet **WŁADYSŁAWA HERTZA** na stacyi »GRANICA«. Pociągi tak przychodzące jak i odchodzące zatrzymują się przeszło godzinę. Kantor znajduje się w westybulu dworca naprzeciw kas biletowych stacyi »GRANICA«.

Pierwszorzędna Pracownia Sukien Męskich
Leona Grabowskiego właściciel firmy: Gabryel Grabowski

Materyały i krój angielski — Wykończenie artystyczne.

w Krakowie, ulica Szpitalna L. 36. — Telefon Nr. 561.